



# BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

**Prenumerata w Warszawie:**

We wszystkich księgarniach i kantorach pisma peryodycznych po cenie miesięcznej kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, rocznie rub. 3 kop. 60; rocznie rub. 7 kop. 20 z 20 tomami rub. 9 kop. 20, w oprawie rub. 12 kop. 20. Na Pradze w księgarni S. Rzymyńskiego, Wileńska, 4.  
Prenumerata w Cesarstwie i Krajach: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50, z 20 tomami rub. 13 kop. 20, w oprawie rub. 16 kop. 20. Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Pod kierunkiem literackim  
**Zofii Seidlerowej.**

*Ekspedycja Główna ulica Nowy-Swiat Nr. 41.*

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 8; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 8 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 8 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego” w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk., z przesyłką pocztową 4,80.

## OD REDAKCYI.

Już po wydrukowaniu prospektu otrzymaliśmy od Kazimierza Tetmajera ostatnią jego nowelę p. t. „Na skalnem Podhalu,”

tom IV-ty

### „O LUDZKIEJ BIEDZIE.”

Druk tej noweli rozpoczniemy w 1-ym, Noworocznym numerze.

## Co dzwony mówiły.

Z po nad kościoła rozlega się dźwięk dzwonów, zwołujących ludzi na pasterkę. Głos ich to się podnosi, potężnieje, to opada i cichnie i płynie daleko, daleko... „Przystąpcie tu! przystąpcie tu!” — brzmi wołanie dzwonów, a na to wołanie niezliczone spieszą tłumy.

W kościele goreją świece, tłum śpiewa rozmodlony: „Chwała Panu na wysokościach!” — „A na ziemi pokój ludziom dobrej woli!” — wtórują dzwony.

— „Pokój na ziemi?...”

Boże! daj żeby tak było... Ach, podnieść oczy z nadzieją na rozjaśnione niebo...

Nie, ono nie rozjaśnione... nie widać wcale nieba, mgła, wszędzie gęsta mgła. Jakby lekliwie przedziera się przez nią jedna, jedyna gwiazdka... Czy to Betleemska?... Gwiazda Miłości...

I znowu biją dzwony... O, jak potężnie, jak donośnie!... Ale tym razem nie powtarzają już: „Pokój na ziemi!”, ani też „Przystąpcie tu!” Mocno, wyraźnie serce ich uderza: „Rodacy! Rodacy!”

Aż nagle potężny głos załamał się i jakby łkanie wybiegło z wnętrza dzwonów: „Miłujcie się! Miłujcie się!...”

Na chwilę umilkło wszystko... Czy to naprawdę tam, w kościele, rozmodlone tłumy śpiewały: „Chwała Panu!”, czy ze wszystkich piersi podnosił się ten śpiew uroczysty? Boże! przecież jest tak wielu, dla których pokojem jest — — — milczenie...

Byłam jeszcze maleńkiem dzieckiem, kiedy opowiadano mi, że przekleństwo ciąży nad ludźmi za to, że pierwszy z nich nieposłuszny był woli Najwyższego i zerwał wzbroniony owoc. Raj wtedy zamknął się przed nim, a u wniścia do niebieskiego ogrodu stanął na straży anioł z płonącym mieczem.

I odezwał się głos: „On będzie panem Twoim!”

Ludzie nie zrozumieli tego głosu. Nie znaczył on jedynie, że mocny mężczyzna ma być podporą i przewodnikiem słabej kobiecie, lecz wszędzie jedni stawiali się panami, a drudzy sługami ich.

A potem ze łzami i wzruszeniem wielkiem słuchałam, gdy opowiadano mi o Dzieciątku, które w ubóstwie narodziło się w Betleem, w stajence, na sianie, któremu złołek za kołyskę dano, a przed którym korzyli się biedacy i możni. I jak później Dzieciątko to, a Boga-człowieka, obnażonego, nędznego, przybijano do krzyża, że to, że nauczał: „Wszyszy jesteście braćmi!”

Boskie posłannictwo głosiło: „Zmazane niechaj będą słowa przekleństwa: „On będzie panem twoim!” — przez jedno słowo: „Brat!”

Kraina, w której ludzie będą sobie braćmi, będzie królestwem Bożem na ziemi, królestwem Boga wielkiej Miłości i Miłosierdzia... nie Pomsty i Kary...

Marzenia dziecinne! albowiem iluż z pomiędzy tych, którzy się chrześcijanami być mienia, niezliczone razy Boga-Człowieka przybi-

jają do krzyża... ileż to razy krzywdzą braci swoich? ileż to razy dają im mrzeć z głodu, lub nienawiścią uniesieni nie znają nawet słowa, Brat...

Gdzież się podziła Gwiazda? Zuiknęła we mgle... Jeszcze raz zadźwięczał mi w uszach wspaniały odgłos dzwonów... Azaliż to rzeczywistość?... azaliż naprawdę jasno staje się w duszy?... „Pokój na ziemi!...”

O Boże! wyciągam ręce... czuję w sobie moc niepożyta, jaką człowiekowi daje wieczna potęga — Nadzieja...

To przesilenie Dnia z Nocą... pochodu Słońca nikt nie powstrzyma...

*Zofia Seidlerowa.*

## „Anioł pasterzom mówił...”

„Anioł pasterzom mówił...”

Dziwne głosił on wieści,  
Że świta już dzień nowy,  
gdzie Prawo będzie Siłą,  
Że się w ofierze — korzyść,  
w męczeństwie — rozkosz mieści  
I że hasło „Vae victis!”  
już znaczenie straciło.

„Anioł pasterzom mówił...”

— „Chrystus rodzi się, mili!  
Nie złamie kruchej słomki,  
gdy na niej siądzie ptaszę, —  
Serc gasnące płomienie  
technieniem swoim zasili  
I moc do czynu wleje  
w serca mdlejące — wasze!”

„Anioł pasterzom mówił...”

— „Leży, leży tam w żłobie!

U żłobu, obok bydła,  
brat wasz, z czerni roboczej...  
Podajcie mu dłoń bratnią,  
przygarnijcie ku sobie,  
Mysł rozbudźcie, na światło  
ciemne otwórzcie oczy...“

„Anioł pasterzom mówił...“  
— „Pokłońcie się Małemu!  
Co małe, uciśnione,  
niech pierwsze w sercu stawa —  
Podnieście je uściskiem;  
światłu głoście całemu,  
Że wielki — obowiązki,  
mały za to ma — prawa.“

„Anioł pasterzom mówił...“  
— „Na gwiazdę patrzcie złotą!  
Za jej promieniem drżącym  
idźcie... Wszak jest was wielu?  
Wszak Miłość — źródłem siły  
Nadzieję — zwijcie cnotą,  
Wytrwałość — powinnością,  
a dojdziecie do celu.“

„Anioł pasterzom mówił...“  
— „Pokój dla dobrej woli!  
Pokój! Pokój! lecz nie ten  
martwy, ospały, głuchy...  
Tym pokój, co wciąż naprzód,  
naprzód idą powoli,  
Tym, co w pług mrówczej pracy  
skrzydlate wprzągłszy duchy  
Pług jednakim wysiłkiem  
w świętym ciągną uporze,  
A nigdy się zwątpieniu  
nie poddadzą żadnemu...  
Pokój temu — co sieje!  
pokój temu — co orze!

„Anioł pasterzom mówił...“  
dawno, dawno już temu!  
*Teresa Prażmowska.*



MARYAN GAWALEWICZ.

## BEZ CELU. POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

XI.

Schwytnięcie Sokolika pogorszyło sprawę Chronieckich; zestawiając rozmaite zeznania i szczegóły, sędzia śledczy wpadł na domysł, iż rzucenie bomby na Marajewa stać mogło w pewnym związku z organizacją bojową, na której ślad wpadła władza po zaareztowaniu Chronieckiej i jej męża, skutkiem kompromitujących wyników dokonanej u nich rewizji.

Śledztwo wprawdzie, prowadzone bardzo energicznie, utykało nieustannie przy zbieraniu obfitego materiału do pełnego aktu oskarżenia, z powodu ucieczki najważniejszych przestępców, mimo to odsoniło dość wyraźnie działalność i plany partii, która pod wpływem radykalnych żywiołów w rodzaju Zettelmana i Kalickiego posunęła się w kierunku terrorystycznym.

Oboje Romeccy w ostatniej chwili zdolali „zwiąć“, pozostawiając resztę towarzyszy ich własnemu losowi.

Chroniecki, postawiony w fatalnej kolizji ze względu na żonę, której nie chciał zeznaniem całej prawdy narażać, stał się skrepowanym i wikłał przy badaniu.

Nie mogły mu się przez usta precyzyjnie argumenty obrony własnej:

— Dajcie mi pokój, bo w tej sprawie nie a nie nie wiem; pojęcia nie miałem, z kąd się wzięły rewolwery w moim domu, w jakim celu je przechowywano, dla kogo były przeznaczone. Pytajcie o to moją żonę, która działała wyłącznie na swoją rękę i nie uważała za stosowne wtajemniczać własnego męża w swoje czyny. To się wydaje śmieszne i nieprawdopodobne, nie mniej jest rzeczywistym faktem!...

A zresztą, było mu to w gruncie rzeczy wszystko jedno, co się z nim stanie; ogarnęła go jeszcze większa apatya i przygotowany był na zesłanie, na katorgę, na co bądź.

Wszędzie przecie żyć można, jak żył dotychczas; zmiana miejsca nie stanowiła dlań wielkiej różnicy.

Jeżeli mu czego brakło jeszcze do życia, to nawet nie wolności i tej osobistej swobody, do której każdy więzień tęskni i wzdycha, ale tylko Jerzyka, tylko tego ukochanego dziecka; o nim myślał i jego losem się troszczył.

Gdyby mu pozwolili mieć go przy sobie i nie rozstawać się z nim, byłby w tej wazkiej, ciasnej i ciemnej celi Dziesiątego Pawilonu siedział spokojnie i wyczekiwał cierpliwie choćby lata całe wyroku.

Najbardziej go trapił brak wiadomości o jego chłopcu, który tam na swobodzie usychał może, jak roślina, zaniedbana bez swego Puńcia, nie miał komu siadać na kolanach, przytulać główki do czyich piersi i rozmawiać swoim zwyczajem o tych wszystkich ciekawych rzeczach, które jego żywy umysł zajmowały.

A biedny mały Jerzyk po nagłym wyjeździe cioci Broni, pozostawał ciągle na wsi, pod opieką ludzi obcych, którzy go nie rozumieli i nie umieli się z nim obchodzić.

Wujek Latosiński próbował po swojemu zająć się dzieckiem, o ile mu kłopoty gospodarskie na to pozwalały, ale pomimo najlepszych chęci nie umiał się zabrać do tego i pozyskać jego zaufania.

Chłopak nudził się w jego towarzystwie; zadawał mu pytania, na które zasniodziały hreczkosiej nie wiedział, co odpowiedzieć, czuł się wobec tego osobliwie malca zakłopotanym i unikał z nim rozmowy, zwłaszcza od czasu, kiedy mu chłopak ze swym naiwnym weredyzmem powiedział pewnego razu:

— Wiesz ty, wujku, co ja myślę?... ja myślę, że ty masz w głowie tylko siano, owies, konie, krowy, buraki i kartofle, bo o niczem innem nie umiesz mówić ze mną, tylko o takich rzeczach, które mnie nic, ale to nie nie obchodzi!... Ty sobie idź do swoich koni, a mnie zostaw samego; już ja sobie sam co wymyślę, aby mi nie było tak nudno. Przecież kiedyś raz ciocia po mnie przyjedzie z Warszawy?... jak uważasz?... Może i tego nie wiesz?...

Ale Wujek Latosiński rzeczywiście i tego nie wiedział, bo listów żadnych nie odbierał i pojęcia nie miał, co się tam dzieje z kuzynkami, które chyba zupełnie zapomniały o Mioduszyńcach, skoro się ani słówkiem nie odzywały po wyjeździe Bronki.

Ani przypuszczał powodów, które się na to zagadkowe milczenie składały.

Dnie odlatywały, jak ptaki jesienią...

Ale jak ptaki wędrownie, które nigdy nie powracają.

Sprawa Sokolika toczyła się powoli, ciężko przed sądem, szukającym gorliwie całego kłębka po pochwyconej przypadkowo nitce.

Któregoś dnia odwiedził go Marajew w jego celi i niby bez urzędowego charakteru rozmawiał z nim przeszło pół godziny sam-na-sam.

Próbował go skłonić w jego własnym interesie—jak zapewniał—do powiedzenia całej prawdy i podania bliższych szczegółów, dotyczących osobistości nieboszczyka Gwoźdźcia.

— Pan samowolnie pogarsza swoją sytuację — mówił, — ukrywając to, co pan wie; pan jest młody, no i uparty, a to nie dobrze!... My ostatecznie wszystkiego dojdziemy; nam Ochraha dostarczyła materiału dużo, tak my i bez pańskiego zeznania moglibyśmy skończyć, ale nam chodzi o pana, aby wyrok był sprawiedliwy, nie za bardzo przykry i surowy. Pan zna kodeks?... pan zna, na jaką odpowiedzialność naraża się?... co?...

Lebicki oczy spuścił, unikając przejmującego wzroku Marajewa i odrzekł spokojnie:

— Domyślam się.

— Pan tylko domyśla się, ale na pewno pan nie wie, a to może być jeszcze gorzej, dużo gorzej dla pana. Więc czemu nie powiedzieć prawdy?... ha?

— Odpowiadałem na wszystkie zapytania, przecie!

— Nu tak, ale co to były za odpowiedzi!... to wszystko szutki. Nam trzeba konkretnych faktów. Naprimier, pan twierdzi ciągle, że pan nazwiska swego kompaniona nie zna i że ten Gwoźdź, prachwost, to tylko Gwoźdź i nic więcej, a nam wiadomo, że się inaczej nazywał.

— Dla mnie był tylko Gwoździem — odezwał się Lebicki stanowczym tonem, — znałem go jedynie pod tem przezwiskiem i nigdy nawet nie rozmawialiśmy o jego osobistych stosunkach.

Marajew zmrużył oczy i wargi wyjął.

— Nu da, da; pan mi może dać swoje czerstowe słowo, że tak było?

— Mogę!... mogę z czystym sumieniem, bo to prawda. Zresztą, po cóż miałbym u-

krywać dzisiaj jeszcze, skoro mu już nic ze strony panów nie grozi?

— Aha!... znaczy się, że jakby groziło, toby pan jednak nie powiedział?—podechwylił przebiegły interlokutor, z szyderczym uśmiechem na ustach.

Lebicki podniósł głowę i śmiało patrząc mu w oczy, rzekł:

— Rozumie się, żebym nie powiedział, gdybym wiedział, że to mną zaszkodzić może.

— Solidarność, co?... A widzi pan, to właśnie źle, że pan się tak ścieśnia tą solidarnością. Pan mógłby swój los znamienicie poprawić, panuby może nawet włoski z głowy nie spadł, żeby pan chciał mówić wszystko. My jesteśmy ludzie surowi, ale sprawiedliwi, my piszemy kary ciężkie i srogie kary, ale my umiemy także znać się na rzeczy...

Spojrzał na niego znacząco, badając, jakie to na nim zrobi wrażenie, i czy rozumiał ukrytą w tych słowach aluzję.

Sokolik wytrzymał jego wzrok, lecz milczał.

— Nu żal! — zaczął po chwili namysłu pułkownik, — pan to w więzieniu pomizerniał, panu broda zarosła, jak u starego dziada. Panaby własna siostra nie poznała. Aha!... co się dotyczy siostry pańskiej, pan wie, co ona chorowała?... Z nią także płochy, bardzo płochy, a wszystko tak i z pańskiej winy. Byliby ją wolno puścili, siejczas, żeby pan więcej chciał powiedzieć, szkoda!...

Edmundowi na wspomnienie siostry serce żywiej uderzyło; po raz pierwszy nadarzała mu się sposobność zasięgnąć o niej wiadomości, więc spróbował skorzystać z chwili i zagadnął Marajewą:

— Pan pułkownik pozwoli, żebym zapytał co się z nią dzieje?...

Marajew uśmiechnął się połową ust, przechylił głowę na ramię i z jakąś filuterną miną przypatrując się młodemu więźniowi, rzekł:

— Nu, ja przecież zły człowiek, człowiek okrutny i bez serca!... pan mnie chciał bombą rozerwać na sztuki. Żeby nie łaska Boska, tak jabym już dzisiaj dawno był pod ziemią, prawda?...

Położył mu rękę na ramieniu i kiwając głową, powiedział:

— Ale ja wiem, co znaczy brat i siostra; ja także brat, u mnie jest aż trzy siostry. Nu, niech pan pyta!

— Dręczy mnie myśl — zaczął Sokolik nieśmiało, — boję się, czy... siostra z mojej przychyni... nie będzie niewinnie narażoną na większą odpowiedzialność, aniżeli...

Wyprostował się nagle i podnosząc dwa palce do góry, z głębokim przejęciem, głosem nabrzmiałym łzami, z jakąś naiwną szczerością zawołał:

— Ja panu przysięgam, panie pułkowniku, że moja siostra nawet nie wiedziała o niczem!... Mnie możecie zesłać na Sybir, skazać do ciężkich robót, nawet powiesić, ale ją wypuście, bo ona niewinna, niewinna, niewinna panie pułkowniku!

Głos mu się załamał z rozrzewnienia, a łzy zaświeciły w oczach.

Marajew stał z głową pochyloną i namyślał się chwilę, potem bystro z pod oka

spojrzał na Lebickiego i wążąc każde słowo z naciskiem, rzekł:

— Nu, teraz wszystko tylko absolutnie od pana zależy. I siostra będzie wolną, i panu kara będzie lżejsza, jeżeli pan powie prawdę, powie wszystko, jak na spowiedzi, ale trzeba nic nie ukrywać — nie, rozumie pan?...

Edmundowi blada twarz pokryła się silnym rumieńcem.

Zaciął usta, brwi zmarszczył i opanowawszy się, odstąpił parę kroków od Marajewa; pełną pierś zaczerpnął powietrza i głosem przyciszonym lecz stanowczym odparł:

— Powiedziałem już wszystko.

Pułkownik poruszył się niecierpliwie, poprawił na sobie mundur i zmieniając ton w jednej chwili, spytał raz jeszcze:

— Zatem znaczy się, że pan nie chce nic powiedzieć?

Lebicki wzruszył ramionami i głowę skłonił, mówiąc:

— Powtarzam panu pułkownikowi, że nie mam nic więcej do powiedzenia, oprócz tego, co zeznałem na śledztwie.

Marajew spochmurniał, wyprostował się sztywno, dźwięknął ostrogami i i zmierzwszy Sokolika od stóp do głowy, zwrócił się ku wyjściu ze słowami:

— Ha, trudno!... tak i sprawa między nami skończyła się. Praszczajcie!

I wyszedł z celi.

Tego samego dnia po południu, przechodząc Krakowskim-Przedmieściem w stronę zamku, spotkał starego Lebickiego, który na trzy kroki przed nim przystanął na chodniku i ostentacyjnie rozkładając ręce, zatrzymał go z patetycznym wykrzyknikiem:

— Co za szczęście pułkowniku, że nareszcie pana spotykam!... Sto razy pukalem do drzwi pańskich nadarmo. Zrozpaczony ojciec błaga litości. Pułkowniku łaski, łaski dla mego nieszczęśliwego chłopca!

Przekonany był, że krótkotrwała znajomość upoważnia go do tego tonu i poufalej rozmowy, rozpoczętej tak dramatycznym tonem, więc zdejmując kapelusz, chciał ująć pod ramię Marajewą, jak równy równego — on, który swojego czasu w klubach z generałami bywał za pan brat, ale pułkownik wysunął mu się grzecznie, lecz z bardzo sztywną miną z pod ręki i udając, że go nie poznaje, spytał po rosyjsku:

— Winowat!... eto wierojatno aszybka. Wy kto takoj?...

Papa skonfundowany otworzył usta i nie mógł w pierwszej chwili zdobyć się na odpowiedź.

Takiego powitania nigdy w życiu nie przypuszczał.

— Panie pułkowniku — bąkał zmieszany i wytrącony z tonu, — przecież... przecież u dyrektora... Tra... Traubińskiego miałem zaszczyt...

— Kak? — przerwał mu krótko, ostro, bardzo znacząco Marajew i nie czekając odpowiedzi, pozostawił go z odkrytą głową na trotuarze, a sam wsiadł do dorożki i odjechał, dając mu do poznania całą niestosowność tak poufalej zaczepki na ulicy.

(Dokończenie nastąpi).

Eugenia Żmijewska.

## KOBIETA POLSKA

W DZIENNIKARSTWIE.

Referat,

odezyczny na Zjeździe Kobiet polskich.

(SEKCJA EKONOMICZNA).



(Ciąg dalszy).

Warto zawsze dawać z siebie więcej, niż to, za co płaci pracodawca. Owa „nadwartość“ jest naszą osobistą zdobyczą, dywidendą, zapewniającą nie tylko idealne i nieprodukcyjne zadowolenie wewnętrzne, lecz i korzyści materialne — w postaci zwiększonej wiedzy, a nieraz i zwiększonych zarobków.

Przez następne lat piętnaście, w nie mniejszym pocie czoła, zmagalam się z Maupasantem, Lotim, Bourgetem, Bret Harte'm, Twainem, Matyldą Sero, Fogazzarem, Tolstojem. Najtrudniej jest tłómaczyć z rosyjskiego, jako języka pokrewnego naszemu, w którym mimowoli myśli się, przekładając. Ztąd rusycyzmy. Francuzki daje się z trudnością naginać, z powodu swej kwiecistości i składni. Tłómacze popadają w tryb bierny i w nieosobowe zwroty. Najwięcej kłopotu sprawia tłómaczom polskim — Loti. Mimo słowiańskiego niemal smętku, jakim owiane są pierwsze zwłaszcza, jego utwory: „Le pêcheur d'Islande“, „Mon frère Yves“, trudno jest złowić nieuchwytnie niemal odcienia uczuć. Nie mniej trudno wyplątać się z zawiłych okresów Bourgeta.

Jędrny język angielski, ze swemi krótkimi, dobitnymi zdaniem, najsposobniejszy jest do przetapiania na polską mowę.

Już po sześciu latach pracy, polegającej na wymyślaniu się w cudze myśli, zaczęłam na tej drodze gubić — własne i do tego stopnia zatracać indywidualność stylową, że napisanie zwykłego listu sprawiało mi trudności. Po latach dziesięciu, wprawa, zdobywana z takim trudem, zaczęła mnie opuszczać; mechanizm mózgowy zużywał się, było mi równie trudno tłómaczyć jak na początku. Po dwunastu latach popadłam w rozstrój nerwowy; przy każdym nowym tomie obawiałam się, że nie potrafię go przełożyć. Groziła mi anemja mózgu. Lekarz — psycholog, umiający wnikać w przyczynę chorób, zabronił mi tłómaczyć przez lat kilka conajmniej. Zastosowałam się do jego rady, i odżyłam.

Nie sądźcie, że Was zaprzętał moimi osobistymi wspomnieniami. To rozdział z ogólnej martyrologii tłómaczek.

Mogła była powiedzieć o tem dużo zmarła już Marya Faleńska. Mogą powiedzieć żyjące: Glücksberżanka, Neufeldówna, Seidlerowa, Sokołowska, Łaganowska. Każda z nich przetłómaczyła kilkadziesiąt do kilkuset tomów. Po pewnym czasie, wszystkie, o ile starają się tłómaczki „przyswajać“ naszej literaturze arcydzieła obce, nie zaś je kazić i oszpecać, wszystkie dochodzą do wie... wy-czerpania i zdenerwowania.

Takie są trudności techniczne, z którymi

potykają się tłumaczkami. A zarobki z tego źródła płynące?

Najwyższe honorarium za rzeczy krótkie: nowele, artykuły, wynosi 2 kop. od wiersza. Minimum — nie da się określić. To jak drobnourój: można go dojrzeć jeno przez mikroskop. Dodatki powieściowe, przyłączane do dzienników raz na tydzień w postaci „bezpłatnego“ premium, są niekiedy „bezpłatnym“ premium, ofiarowaniem, pomimo chęci, przez tłumaczkę. Przeciętnie, za 16 stronic druku, czyli około 600 wierszy, otrzymują one po 3 do czterech rubli. Za powieści tłumaczone w felietonach pism, honorarium bywa wyższe: dochodzi do 1½ kop. od wiersza. Dodatkowym zarobkiem są przedruki tłumaczeń, o które niekiedy domaga się prasa galicyjska. W ciągu lat 15-tu zyskałam tą drogą 650 guldenów. Jednotomowa 16-to-arkuszowa powieść tłumaczona, przynosi tłumaczce przeciętnie 60 do 80-ciu rb. Za oryginalną, otrzymuje się od 200—500 rb. 117 tomów przekładów, w ciągu lat 15-tu, przyniosło mi 8760 rb., nie licząc przedruków. Ta cyfra jest poniekąd normą i dlatego ją cytuję.

Aby mózdz utrzymać się z tłumaczeń, umieszczając je przygodnie w tem lub owem piśmie, trzeba uzbroić się w dużą dozę cierpliwości, przygotować się na zwrotkę, powtarzaną przez wszystkich redaktorów; że ich teki są zaopatrzone, na parę lat z góry, w przekłady z wszelkich europejskich języków. Gdy po kilkumiesięcznych zabiegach uda się wreszcie tłumaczce umieścić swój rękopis, musi nieraz czekać na jego druk latami całymi. Zofia Seidlerowa, znana dziś publicystka, redaktorka „Bluszczu“, po złożeniu pierwszej próby swej pracy w „Ateneum“, przez miesiąc trzynastcie trawiła się niepokojem i obawą, że nic na polu literackim nie zdziała.

Gdy się jest nawet u źródła, gdy się pracuje stale w dzienniku, nie łatwo umieszczać w nim swe przekłady.

Przez trzy lata, robiąc w „Słowie“ korektę, nie mogłam dostać dodatków powieściowych do tłumaczenia, gdyż teka była istotnie—pełna. Aby „wypisać“ tyle, ile trzeba na całodzienne utrzymanie z mieszkaniem i na skromny ubiór, trzeba pracować co najmniej po 8 godzin na dobę, zarabiając przeciętnie po 30 do 50-ciu kop. na godzinę.

Przechodząc od tłumaczeń na wyższe szczeble dziennikarskiej drabiny, spotykamy kobiety, zasilające kronikę zagraniczną. Wymaga to już pewnego zmysłu krytycznego, umiejętności streszczania się. Wśród kilkunastu gazet niemieckich, francuzkich, angielskich, trzeba wybrać codziennie kilka notatek o tem, co się dzieje po za krajem, w świecie nauki, sztuki, literatury; zebrać wreszcie anegdoty o członkach panujących domów, o ludziach wybitnych, o wypadkach na lądzie i morzu. Trzeba wyczuwać, co może zająć czytelnika, podawać te wiadomości lub wiadomości w formie żywej, charakteryzować je kilku słowami w tytułiku, zwracającym uwagę. W tej rubryce, zwanej: „Ze świata“, „Rozmaitościami“ i t. p., celuje prowadząca ją od lat dwudziestu paru w „Gazecie Polskiej“ panna Bronisława Neufeldówna. Ona też jest jedyną kobietą, która przez czas pewien była stałą w tym dziale współpracowniczką „Ku-

ryera Warszawskiego.“ Jakkolwiek pismo to było pierwszym, które po za kratką posadziło kobiety, oddając w ich ręce przyjmowanie prenumeraty, dziś jest jedynem, gdzie, wszedłszy do redakcyi, nie widzi się kobiety przy biurku.

Dział sprawozdawczy, bodaj w zakresie wzmianek o wypadkach, o zabawach i modzie, jako wymagający umiejętności opisowej i daru obserwacyjnego, może być postawiony na szczeblu wyższym od tych notatek, które się czerpie nie z życia, lecz z gazet.

W tym zawodzie utorowała kobietom drogę, zmarła w roku bieżącym s. p. Fela Kalfalowa, która na łamach „Kuryera Porannego“, w słowach kwiecistych zaczęła opisywać toalety damskie na balach, wyścigach, kermaszach. Nikt, oprócz fabrykantów, nie znał chyba lepiej od niej, nazwy materyi, koronek i wszelkich tkanin, służących do ozdoby świata niewieściego, a żadna z kobiet nie była bardziej *entourée* na balach — przez kobiety od pani Feli.

Wytworne sprawozdania o modach pisywała do „Kuryera Warszawskiego“ p. Zofia Seidlerowa. Wzmianki o wypadkach, konsekracyach, inauguracyach, pisuje do „Kuryera Porannego“ p. Zofia Śliczniakowska. Jako sprawozdawczyni z beletrystyki zagranicznej celuje pani Marya Łaganowska. Niezrównaną sprawozdawczynią z odczytów, pod względem treściwości i dokładności, jest pani Zofia Bielicka, pisująca w tym dziale do „Bluszczu“; przeglądy polityczne w temże piśmie, piórem wytrawnem, kreśli panna Julia Terpiłowska; dobre sprawozdania muzyczne zamieszczała w „Prawdzie“ panna Bronisława Neufeldówna. Ona też jest jedyną w Warszawie kobietą, która prowadziła przez lat wiele dział polityki zagranicznej w piśmie codziennem „Gazecie Polskiej“, a dodać należy, że prowadziła go nie gorzej od wielu mężczyzn, a lepiej od niejednego. Jest to w ogóle, wraz z panią Seidlerową, najbardziej wykwalifikowana publicystka warszawska. Umie nie tylko pisywać, ale zna się na całej technice dziennikarskiej.

Słusznie też należy do najbardziej uposażonych dziennikarek: jej dochody wynoszą około 2,500 rb. rocznie. Aby dojść do takiej cyfry, musi jednak wstawiać o szóstej i pracować nieraz po północy. Dodać należy, iż redaktorowie i wydawcy z własnego impulsu, w uznaniu jej pracy, podnieśli jej honorarium.

Jestto fakt godzien zaznaczenia, że względu na swą rzadkość. W ogóle praca kobiet, w zakresie dziennikarskim, bywa nie mniej wyzyskiwana, niż w innych. Honorarya ich wynoszą od jednej do trzech kop. od wiersza, wówczas gdy mężczyźni za tę samą robotę pobierają od 3-ch do 10-ciu kop.; w rubrykach stałych, płatnych miesięcznie, stosunek jeszcze większy. Jeśli korektor bierze 50 rb., to korektorce dadzą 30, a w pewnym piśmie, za prowadzenie kroniki wypadków miejscowych—kobieta pobierała 20 rb.; mężczyzna, przyjęty na jej miejsce, otrzymał 100 rubli, lecz w imię prawdy dodać muszę, iż włożył w to daleko więcej uwagi, czasu i sumienności.

Bezmyślne, machinalne spełnianie swych

czynności dochodzi niekiedy do granic nieprawdopodobieństwa wśród kobiet, zaprzęgniętych do dziennikarskiego pług. Jedna z nich, wpisując przez lat kilkanaście ceny zbożowe i kurs walut zagranicznych, nie wiedziała: ile kosztować może pszenica i jaki jest w danej chwili kurs rubla w Krakowie.

Większość kobiet, pracujących stale w dziennikarstwie zatracą zdolności twórcze i nie zdoła się wznieść po nad czarną skibę, nie zdoła wydzwonić nad nią pieśni skowronczanej. Dla kawałka chleba muszą robić korektę, tłumaczyć—na funty, a praca wyrobnicza osusza źródło natchnień, łamie skrzydła.

Rzecz iuna z pracownicami, stojącymi przygodnie na tym zagonie ze snopem ziół wonnych i kwiatów czarownych. Umieją one przemawiać nie tylko do grona prenumeratorów danego pisma, lecz do całego narodu, jak Eliza Orzeszkowa, wzywająca do składek na pogorzalców w przepięknej odezwie: „Grodo się pali“, zabierająca głos w sprawach polskich w „Rusi“, domagająca się równouprawnienia kobiet w „Kuryerze Litewskim“, wzruszająca nas do łez w ostatniem swem odezwaniu do „Tych, które twarzą w twarz w oblicze Matki patrzą.“ Jak Marya Konopińska „potrząsająca skarboną na światło“, gdy wzywała do uczczenia Orzeszkowej jubileuszowym seminaryum; jak Gabryela Zapolska, gdy na wieść o przybyciu do Skierniewic Mikołaja II-go, pisała we lwowskim „Słowie“ artykuł p. t. „Car jedzie“, przedrukowany w pismach francuskich i angielskich. Jak Iza Moszczeńska w programowym artykule „My i lud“, piętnująca fałszywy demokratyzm, w imię rzekomej równości, obniżający poziomy.

Głos kobiet brzmi silnie i rozlega się szeroko, a zabierają go zwykle w sprawach dobrych Teresa Prażmowska-Wołowska, Cecylia Wallewska, Zuzanna Morawska, Aniela Szcówna, Julia Terpiłowska, Jerzy Orwicz, wzruszały i przekonywały na szpaltach wielu dzienników. Nie wspominam o dziełach poetek, ani powieściopisarek, bo nie jest to literackie studium, lecz obraz cichej, bezimiennnej pracy, wykazanie zarobków na tem polu. Najwyższa norma, płacona przez pismo, wynagradzające najlepiej swoich współpracowników stałych i przygodnych „Kuryer Warszawski“, wynosi po 15 kop. od wiersza.

Na ogół jednak honorarya autorskie kobiet bywają o parę kopiejek od wiersza niższe od honoraryów mężczyzn; powieściopisarki zamiast 6—10, otrzymują 4—6 kopiejek; za prawo odbitki księgrze płać im o kilkaset rubli mniej, zamiast 500—300 rb. przeciętnie za odbitkę książkową powieści, a niekiedy panowie redaktorowie dopuszczają się wobec nich bezprawii, które nie uszłyby im bezkarnie z mężczyznami. I tak na przykład, pewien redaktor wydrukował pod swoim nazwiskiem powieść, zostawioną mu przez kobietę do umieszczenia w jego piśmie; drugi znowu, gdy przy zmianie redakcyi powieściopisarka cofnęła swój utwór, polecił go dokończyć innemu autorowi—pod jej firmą.

Takie to korzyści wpływają niekiedy na literatki polskie. Mimo jednak uposzczeń i utrudnień, kobiety zdobyły wiele placówek na dziennikarskim zagonie, doszły nawet do

placówek naczelnych—dosłużyły się szlif generalskich.

I to nie od dzisiaj.

(Dokończenie nastąpi).



## Nasz protest.



Gdyśmy niespełna rok temu usłyszeli zapowiedź projektu wywłaszczenia Polaków pod zaborem pruskim, przyjęliśmy tę wiadomość z niedowierzaniem. Wydawała się ona czezą marą, wyległą w mózgach hakaty w paroksyzmie gorączki „Polenkoller'u," sądziliśmy, że niemożliwym jest, by przyjęła kształty projektu ministeryjalnego, by następnie posłuch znalazła w narodzie, bądź co bądź, ucywilizowanym.

Ale oto mara ta już stała się bolesną i potworną rzeczywistością. Projekt wywłaszczenia przeszedł do komisji, a tam przyjęto go z nieznaczniemi poprawkami, większością 18 tu głosów przeciw 9-ciu.

Pozostaje jeszcze prawo o stowarzyszeniach, co do którego możemy się dłużej ludzi, rozstrzyga tu bowiem parlament, oparty na demokratycznej podstawie powszechnego głosowania. Będzie to więc ogniowa próba na liberalizm całego narodu niemieckiego, próba, która prawdopodobnie zedrże ostatnie osłony z przecenionej jego wartości.

Nie ludźmy się więc optymizmem! Niemcy dzisiejsze to nie są Niemcy romantyczne z pierwszej połowy przeszłego wieku, to już zupełnie inny naród. Niemcy dzisiejsze nie bawią się w humanitarne mrzonki, ich sumienie śpi twardym snem sytego filistra, a żadne symptomy nie zapowiadają, żeby się zbudzić miało. Tu i owdzie odzywały się wprawdzie głosy uczciwe i bezstronne, które zajęły w tej sprawie stanowisko krytyczne, i wypowiadały się przeciw wszelkim prawom wyjątkowym, jako pogwałceniu kardynalnych zasad sprawiedliwości i zamachom na wolność obywatelską. Szczery liberalizm pradiadów jednakże bardzo nieśmiało odzywa się przez usta prawników, i choć prasa nasza skrzętnie notuje te sympatyczne drgnienia opinii niemieckiej, to jednak niepodobna z tych nielicznych i odosobnionych głosów wysnuwać wielce uspakajających wniosków. Wśród setek czasopism niemieckich możemy wyliczyć zaledwie kilka takich, które projekty antypolskie potępiają; są to głosy przemijające bez głośniejszego echa wśród szowinistycznej, wszechniemieckiej wrzawy, Nie dochodzą nas wcale wiadomości o wyraźniejszych objawach burzenia się opinii publicznej, o wiecach, przemówieniach, a przecież w państwie konstytucyjnym są to zupełnie dozwolone środki agitacji, w innych wypadkach często wśród Niemców używane.

Trzeba przyznać, że sfery rządzące z zadowolającą perfidją bałamucają opinię publiczną, a obecnie biorą ją na przynętę reform liberalnych, od dawna przez żywioły postępowe żądanych. Temi reformami w nowym

projekcie ustawy o stowarzyszeniach są: prawo koalicji związków i dopuszczenie kobiet do stowarzyszeń o charakterze politycznym. Istnieje więc uzasadniona obawa, że koła postępowe jedyne, wśród których obrońców znajdujemy, kuszone temi zmianami ustawy, przyjmą projekt rządowy *en bloc*, zamykając oczy na przemycony przy tych szerokich wolnościowych reformach barbarzyński paragraf 7-my, wyjmujący z pod prawa ogromny odłam obcoplemiennej ludności.

Zakaz używania języka polskiego na zebraniach publicznych, będzie dla sprawy moralnej w swych następstwach jeszcze groźniejszym od wywłaszczenia. Uniemożliwi on zupełnie podjęcie jakiegokolwiek akcji obrony narodowej, — zamknie ostatecznie drogę oddziaływania przeciw zakazom germanizacyjnym. Jest on niesłychanym w dziejach cywilizacji gwałtem, urąganiem z gwarancji konstytucyjnych, podeptaniem wszelkich zasad humanitarnych.

Naród, który cierpliwie znosi, aby jego przedstawicielstwo na takie potworności się zgadzało, nie jest godzien nazwy cywilizowanego narodu. To jest horda mongolska, która dzisiaj ciężką stopą wdeptuje w błoto swe piękne tradycje z 48-go roku.

A my, patrząc z za słupów granicznych, na ten ciężki jassyr braci naszych, czem odpowiemy tym europejskim ludożercom?

Oburzenie, pogarda, szyderstwo,—to mało.

Tych pocisków nie żałują naszym ciemnościom i inne ludy, ale ślina wzdargy i ostrze szyderstwa zeslizgują się bezskutecznie o grubą skórę hipopotamów z nad Sprewy. Trzeba więc dotkliwszych i skuteczniejszych.

W Niemcu współczesnym, w pancerz grubego egoizmu zaszytym, jest tylko jeden punkt czuły i wrażliwy. Tym punktem, tą piętą achillesową jest kieszeń, i tam godzić musimy ostro i śmiało, a nie wyszczerbią się groty nasze.

Zapowiedź bojkotu towarów niemieckich, rozbrzmiewająca w prasie naszej, już drżeniem lęku ogarnęła sakiewki kupieckie. Te wrażliwe przez nerw kieszeni dusze, zaczynają teraz rozmyślać smętnie nad kanclerską polityką, ale pisma hakatystyczne, jak troskliwe niańki spieszą do swych pupilów ze środkami uspokajającymi ową febrę obawy. „Nie należy brać tych zapowiedzi zbyt tragicznie,“ —zapewniają one. O naturalnie, zbyt świeżo mają publicyści niemieccy w pamięci ten słomiany ogień, który zapłonął po Wrześniu a następnie ugasił, jak błędny ogień. Wszakże zaledwie kilka lat ubiegło od tych groźnych zapowiedzi bojkotu, a przemysł niemiecki kwitł i wzbogacał się na naszych rynkach, epidemia zaś strajkowa dokonała reszty. Industrie niemiecka dziś święci złoty wiek tryumfu i napychania kieszeni.

Więc może słuszność mają hakatyści, perswadując swoim landsmanom, że mogą spać i trawić spokojnie; oni wiedzą, żeśmy narodem fajerwerkowych wybuchów i krótkiej pamięci, narodem tańczącym tak, jak mu słomiany chochół zagra.

Czas już nareszcie, byśmy przestali być *quantité négligeable* dla naszych sąsiadów, czas już byśmy ich przekonali, że jesteśmy żywą siłą, z którą liczyć się trzeba, siłą, która na

dłuższą metę mierzy ciosy swych postanowień.

Pobudka już zabrzmiała,—akcja bojkotowa niebawem się rozpocznie, a będzie ona miała obok strony negatywnej i stronę pozytywną, toczyć się bowiem będzie pod hasłem popierania wytwórczości krajowej. My kobiety nie pozostaniemy tu bezczynnymi widzami, lecz staniami się czynnymi i gorliwymi pracownikami.

Uprzytomnimy sobie, że w tej bezkrwawej a okrutnej walce naszym braciom wypowiedzianej, jedynie tą drogą czynnie ich pomścimy. Dzieło pomsty będzie zarazem dziełem twórczym, ożywi nasz przemysł miejscowy, odwróci prąd emigracyjny, wyludniający nasz kraj, wreszcie naszą ekonomiczną pozycję. A w tych wysiłkach samopomocy narodowej my stanowić będziemy siłę bardzo poważną, panujemy bowiem bezpośrednio nad drogami przepływu pieniędzy. Z charakteru naszych zadań gospodarczych wynika, że cały codzienny obieg pieniędzy głównie przez nasze przechodzi ręce. Dzisiaj nie wolno nam prostej czynności załatwiania sprawunków dopełniać bezmyślnie, bo każdy grosz wydany nieopatrznie w ręce kupca, wylamującego się od akcji obywatelskiej, stanie się groszem judaszowym, karmiącym zdradę.

Bądźmy przygotowane na to, że nasz handel miejscowy odcierpi pewne przesilenie, w następstwie przerzucenia się w inne stonki. Jest bardzo możliwe, że zanim się wytwórczość krajowa do nowych zastosuje warunków, będziemy zmuszone wyrzec się różnych drobiazgów, których nam tandeciarstwo niemieckie dotąd tanio dostarczało. Powinnyśmy się jednak przejąć tak głębokim wstrętem do wszystkiego, co z Niemiec przychodzi, żeby go żadne względy elegancji, estetyki, a nawet praktyczności przelamać nie mogły.

Obowiązek obywatelski wymaga od nas tak niewielkiej ofiary, że wstydem byłoby dla nas, gdybyśmy nie mogły wytrzymać tej próby wytrwałości. Niegodnemi imienia Polek byłyby te z pośród nas, któreby się wylamywały z karbów solidarności, tej zbiorowej, szerokiej solidarności, która musi się zamianifestować, jako czyn narodowy.

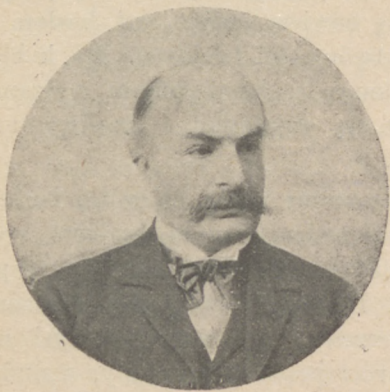
Hasła już rzucone, organizacja jest w biegu, a grono ludzi, które akcję podjęło, zawiązuje się w „Towarzystwo popierania wytwórczości krajowej.“ Zaofiarujmy nasz współudział tworzącej się instytucji, a gdy działalność jej się rozpocznie, strzeżmy, by ogólnie jej dyrektywie się poddawał.

Akcja taka to jedyna odpowiedź, jaką my z za kordonu na ustawy antypolskie rzucić możemy. Nasz protest nie może być tylko krzykiem oburzenia, on musi być ostrzem czynu.

Z. Belicka.



## Z żałobnej karty.



W dniu 16-ym b. m. złożono na ementarzu żydowskim zwłoki b. p. **Michała Glücksberga**, zasłużonego księgarza i wydawcy, założyciela „Bluszczu.”

Syn także księgarza i wydawcy, **Michał Glücksberg**, urodził się w 1838-ym roku w Warszawie i tutaj ukończył gimnazjum filologiczne.

W roku 1859-ym otworzył na wielką skalę księgarnię krajową i zagraniczną i w pierwszym roku jej istnienia rozpoczął wydawnictwo dzieła: „Historia literatury polskiej,” **Juliana Bartoszewicza**.

Od roku 1860-go wydawał bardzo poczytne pismo ludowe „**Kmiotek**,” początkowo pod redakcją **J. K. Gregorowicza**, a następnie **Wł. Ancyca**.

Rok 1865-ty jest rokiem założenia „**Bluszcza**,” na pierwszą redaktorkę którego **Michał Glücksberg** powołał **Maryę Ilnicką**. „**Bluszcza**” w szybkim czasie rozwinął się znakomicie, najwytrawniejsi pisarze, jak np. **Stanisław Krzemiński**, należeli do członków redakcji, skrzętnie gromadzącej prace piór pierwszorzędnych, w pośród których często spotykamy takie nazwiska, jak: **Kraszewski**, **Asnyk** i wiele innych.

**Bystry**, rozumny, kilkakrotnie obierany na sędziego handlowego, rosnący w powodzenie, w roku 1871-ym rozpoczął **Michał Glücksberg** cenne wydawnictwo „**Muzeum sztuki Europejskiej**,” które mieści w sobie, w artystycznych kopiach, najcenniejsze utwory mistrzów pendzla i dłuta, oraz życiorysy ich i portrety.

W tym samym, mniej więcej czasie, przypada słynne, artystyczne wydawnictwo (w języku polskim) **Pisma Śgo**, z 230-ma wielkimi rysunkami **Gustawa Dorégo**, a także tanie, popularne wydanie powieści historycznych **Kraszewskiego**, w 29-ciu tomach.

Nazwisko **Glücksbergów** (ojciec założyciela „**Bluszcza**,” jak wspominaliśmy, też wydawca, założył „**Magazyn Mód**,” (dzisiejszy „**Tygodnik Mód**”), zaszczytnie zapisało się na kartach wydawnictwa krajowego, jako ludzi inteligentnych, uczynnych — i dobrych Polaków.

Pod roku 1890 tym przyszły dla **Michała Glücksberga** lata ciężkie. Zbieg różnych nieszczęśliwych spraw i wypadków, zgubnie oddział na interesy wydawnictw, zwłaszcza „**Bluszcza**.” Pismo chwiać się poczęło, a nie zasilane dość odżywczo dla braku środków, groziło zamarciem. Wtedy to, to jest w roku 1904-ym, przeszło w ręce obecnego wydawcy i wkrzeszone zostało pod redakcją **Gawalewicza**.

Przywiązanie do założonego przez siebie pisma, do tej społecznej, patryotycznej placówki, przetrwało u **Michała Glücksberga** do końca życia. Losy „**Bluszcza**” zawsze obchodziły go żywo i szczerze. Odwiedzał niekiedy obecną redakcję i wydawcę, w którego ręce złożył losy umiłowanego pisma, bez cienia zwykle w podobnych razach spotykanej niechęci, — cieszył się powodzeniem pisma, nie czędził nawet rad, na długoletniemu doświad-

czeniu opartych, za co Redakcja „**Bluszcza**” zachowa mu zawsze wdzięczną pamięć.

z.

## GŁOS MATKI

W sprawie rozterki rodziców z dziećmi.

„Mówię bom smutny i sam pełen winy.”  
*Z. Krasieński.*

W czasie wybuchu rewolucji, która nie mogąc wyjść z bronią w rękę, odznaczyła się niesłychaną burzą w umysłach, wśród oslepiającego blasku żagwi pożarnych, rzuconych w tłum przez agitatorów, odsłoniły się naraz wszystkie rany społeczne.

Przygotowana przez długie lata waśń klasowa, wybuchła jadem nienawiści; odezwały się wszystkie krzywdy, a głos ich znalazł odźwięk nawet w tem środowisku, które nauczyliśmy się uważać za jedyną przystań względnego szczęścia, za tusculum tradycyi i cnoty w rodzinie.

Dziś, gdy pozornie ucichła burza, gdy jedna część społeczeństwa popada znów w apatię, a druga z zapalem przedziera się wąską furtką, jaką nam otworzono, aby walczyć o odrodzenie kraju drogą oświaty i kultury, zostało wiele spraw niezalutwionych, wiele bolesnych konfliktów, do rozstrzygnięcia których potrzeba nam wyteżenia wszystkich sił moralnych i wiele, wiele miłości i współczucia.

Jedną z boleśniejszych spraw, jakie poruszyły w tych czasach serce kobiet i matek szczególnie, jest sprawa rozterki rodziców z dziećmi. Świeżo w 3-im i 4-ym numerze „**Spółczeństwa**” pojawiła się namiętna odezwa, echo wieców córek zeszłej zimy — podpisana pseudonimem młodej, bardzo zdolnej publicystki, która w wywodach swych dochodzi do przerażających wprost wniosków.

„**My, córki, nie mamy z wami (t. j. rodzicami) nic wspólnego, żadnej idei etycznej, jesteśmy wam zupełnie obce.**”

Rzucenie tak ciężkiego oskarżenia naszemu pokoleniu przez osobę inteligentną, orientującą się w ruchu społecznym i biorącą w nim żywy udział, wymaga poważnego zastanowienia się nad podjętą przez nią kwestyą.

Doświadczenie nauczyło nas, że zmurszałe drzewa nie wydają dobrych owoców, pożyteczne rośliny nie wyrastają na bagniskach, a dzieciom, o ile się nie wychowają w zdrowej i szlachetnej atmosferze, trudno znaleźć się do dźwigania wielkich zadań życiowych.

Że atmosfera, w której wzrastały nasze dzieci, nie była normalną, że nie sprzyjała rozwojowi sił moralnych i duchowych, tego zaprzeczyć nie możemy.

**My, starsi, jesteśmy pokoleniem bardzo nieszczęśliwym, życie nam ubiegło w martwocie i milczeniu.** Gdy dzieciństwo ożłociły nam jeszcze odblaski wielkich, bohaterskich poświęceń, w młodości już przyszły lata rozgoryczenia, jakie następuje zwykle po wyekspensowaniu szlachetnego zapala dla wielkiej, a przegranej sprawy.

Dom, rodzina, względny dobrobyt, stały się powoli jedynym ideałem życia, a odbudowanie ruin zasługą.

Stopniowy ucisk, brak życia politycznego, przy ograniczeniu życia społecznego do minimum, rozleniwiwały ducha i usypiały samowiedzę moralną.

Wszelkie oddziaływanie sfer inteligentnych na masy było surowo wzbronione, grzęzła więc warstwa zamożniejsza w egoistycznym kwietyzmie, zdobywając się zaledwie na filantropię, a lud i klasy robotnicze bez szkół i oświaty, zamieniały się w ciemny tłum, dostępny łatwo wszelkim destrukcyjnym wpływom.

Nic dziwnego, że w społeczeństwie zmuszonym żyć kompromisami z tem, co stanowi istotną wartość życia, musiała się zachwiać powaga rodziny.

**My szczególnie, należący do sfer zamożniejszych, kochaliśmy źle nasze dzieci, kochaliśmy je zanadto.**

Zanadto, nie w znaczeniu tej czujnej surowej miłości, chroniącej cnoty i wyrabiającej charakter, lecz miękką słabością, co tworzy ciepłą atmosferę i odgranicza dziecko od życia, od jego cierpień, walk i nędzy.

Tak nam było źle, tak byliśmy skrupowani w sferze duchowego życia, że chcieliśmy dzieciom naszym dać w domu choć trochę szczęścia i swobody.

Ztąd ta troska o zapewnienie im względnego dostatku, ta zabiegliwość matek o zamążpójście córek, w celu ochronienia ich od walk samotnego życia, ten najgorszy z kompromisów, oddanie synów na pastwę szkoły rusyfikacyjnej za cenę możliwości zdobycia kariery.

Stłumiliśmy w sobie pęd ku szerszym ideałom życia i dziś przyszła chwila, gdy w dzieciach naszych odezwał się głód duszy i rzucił nam bolesną skargę.

A przytem w dzieciach tak chowanych rozwielmożniony bezwzględny egoizm nazwał się indywidualizmem i odrzuca z pogardą to, co człowiek wynieść powinien jednak nietkniętem z burz i zawodów życia, miłcąc do najbliższych, tych, co mu dali życie i osłonili jego dzieciństwo.

Czy jednak jest tak źle, jak to w imieniu córek utrzymuje młoda publicystka — czy można zarzuty przytoczone wyżej uogólnić na całe społeczeństwo, czy pomimo tak trudnych warunków nie ostała się jednak ta arka przymierza pomiędzy młodemi a dawnymi laty? Niech na to odpowiedzą te zastępy młodzieży, które dziś z zapalem pragną szerzyć oświatę, te panny, które porzuciwszy egoistyczną troskę o siebie, a nawet poświęciwszy pragnienia osobistego szczęścia — idą do ciemnych i wydziedziczonych, aby rozniecić wśród nich iskierkę światła i szczęścia. Oni, ta młodzież, ta przyszłość kraju, nie wzięły tego z książek i z teorii — było to przekazane z uczuć ich matek, które te uczucia z bólem nieraz musiały tłumić na dnie duszy.

Oni szczęśliwsi będą od nas, idą w świt, ku lepszej przyszłości, przed oczyma ich staje w mgłę jeszcze niestety, ale z nadzieją urzeczywistnienia najwyższy ideał ludzkości, odrodzona godność człowieka.

Ich zadaniem będzie pogłębić i rozszerzyć

nasze dążenia narodowe o całą skalę dobra ogólnego i równych praw dla wszystkich.

Czy jednak w chwili ocknienia się z ogólnej martwoty i nasz schyłek życia ma upłynąć bezużytecznie—czyż pozwolimy dzieciom, aby odrzuciwszy miłość naszą, szły w świat samotne i o ten wielki skarb zubożyły swe życie? Stańmy na wysokości zadania, podnieśmy serca w górę po nad małostki i przesady, odrzucmy z życia to, co jest w niem blichtrzem i pozorem.

Kraj nasz jest ubogi i zrujnowany, niema w nim miejsca na zabawę i zbytek, egoizm sfer zamożnych przynosi mu największą krzywdę; każdy grosz zbywający od skromnych codziennych potrzeb, niech idzie na podniesienie oświaty i poprawienie doli wydziedziczonych. Niech życie nasze będzie poważne i surowe, bo ważne i groźne są chwile, które przeżywamy.

A gdy spokój i szlachetna rozważa starszych podeprze zapal i entuzjazm młodych, gdy wspólnie pracować będą przy budowie lepszej przyszłości, to może następne pokolenia nas z win naszych oczyszczać.

*D-rowa Kosmowska.*



## W Wigilię.



Cicho się plotą sny bajeczne,  
Cicho, przedziwnie, słodko plotą —  
Jaśnieją bielą drogi mleczne,  
Gwiazd roziskrzzone błyszczą złoto,  
A wkrąg—milczenie wraz z tęsknotą,  
Przedziwne, głuche, mocne, wieczne...

Czarowna, cudna, błoga chwilal..

Tak razem blizka — i daleka...

Oto się ludzki duch pochyła

Nad trumiennego ciszą wieka —

I przeszłość wrota swe uchyla

I płynie wspomnień rój —

jak rzeka...

Wieczór...

Wigilia...

Stół zasłano

Białym obrusem do wieczerzy —

A pod obrusem leży siano —

Tak każe zwyczaj, tak należy...

Gwar płynie falą niewstrzymaną...

Słychać szmer głosów, szcęk talerzy...

Ach! wspomnień takich więcej, więcej..

Znowu-m u kolan matki swojej,

Znowu-m w komnatce swej dziecięcej,

A serce — „gwiazdkę“ cudną roi...

I — sen ziszczony pacholęcy,—

Choinka cudna —

w rogu stoi...

Słodkie, przedziwnie błogie lata!

Niech się wasz czar bajkowy święci!

Niech pośród nędzy tego świata

Baśń lat dziecięcych trwa w pamięci —

Ku niej wspomnieniem duch mój wzlata

Gdy go istnienia rozpacz smęci...

Niech trwa nademną — złota dobo —

Twój urok wiekuiście żywy...

Niech dziś, gdy serce drga żałobą,

Odtwarzam obraz ten szczęśliwy

Dzieciństwa mego...

Sen złożony

O barwach tęczy —

w grób złożony...

Cicho się plotą sny bajeczne,

Cicho, przedziwnie słodko plotą —

Jaśnieją bielą drogi mleczne,

Gwiazd roziskrzzone błyszczą złoto —

A wkrąg —

milczenie wraz z tęsknotą

Przedziwne, głuche, mocne, wieczne!

*Tadeusz Kończyc.*



## „Szkoła.“

Sztuka w 4-ch aktach Z. Kaweckiego.



(Dokończenie).

W pierwszym akcie mamy doskonale, prawie fotograficznie ściśle namalowany rodzajowy obraz „stancyi,“ tej anti-hygienicznej wylęgarni „mężów przyszłości.“ W małym, dusznym pokoiku gnieździ się najmniej czterech, a najwyżej ośmiu „studentów.“

Kto raz w życiu miał sposobność być w domu pani, która „trzyma studentów“ na stancyi, ten na myśl o tem, co ujrzał, będzie zawsze uśmiechał się ze współczuciem, z melancjijem wzruszeniem, które mówi: „a może... może z tej właśnie izby wyjdzie przyszłość, wielkość, twórczość.“

Lecz jeszcze więcej będzie w takim uśmiechu rezygnacyi... Stanowczo o Polsce nie uożna powiedzieć, jak o Japonii, iż jest „rajem dzieci;“ nasze „stancye“ nie są oranżeryami i nie będą niemi nigdy; nie pomogą półśrodki kontroli, listy pań, które mogą „trzymać na stancyi,“ odwiedziny profesora i t. d.

Można być zwolennikiem wychowania jedynie rodzinnego, można marzyć o greckiej edukacji młodzieży na koszt państwa, można być przyjacielem lub nieprzyjacielem nowej szkoły, reformowanej, wolnomysłnej lub konwiktów, internatów, lecz bardzo trudno być wielbicielem „stancyi.“ Dlaczego? Odpowiada na to p. Kaweckie jaskrawym epizodem w pierwszym akcie „Szkoły.“

Przez „stancye“ przechodzi o rozmaitych porach i w rozmaitem usposobieniu „sąsiad,“ stary kawaler, odnajmujący od „pani“ izbę. Nikomu nie przejdzie przez myśl zazdrościć takiego *home'u* panu „sąsiadowi;“ widocznie bieda skazała go na mieszkanie „bez wejścia;“ ztąd wiele usprawiedliwiającego. Cóż, gdy usprawiedliwienie nie zmaże faktu, że pan „sąsiad“ nie mając do swego pokoiku osobnego wejścia, przeprowadza przez stancye, w oczach kilkunastoletnich chłopców, zaproszoną na... herbatę, chwilową znajomą z ulicy.

Dowiaduje się o tem „pani“ i choć sama lubi pić „herbatę z romem,“ jednak ratuje

honor swego domu, robi sąsiadowi „piekło“ wyrzuca za drzwi „znajomą.“

Po tej scenie, zaczerpniętej jakby z *dna* życia, jednemu z chłopców wyrwa się bolesne, wstrząsające westchnienie: „Że on się nas nie wstydził!“

A jednak „sąsiad“ godzien jest raczej litości, niż wzgardy...

Tak, tak; tak to bywa w życiu „na stancyi.“

A jednak! A jednak na tym smietniku kwitła róża wzniosłych marzeń, kwiat idealizmu!

Późnym wieczorem, po skończonych lekcjach, zbiera się „na stancyi“ kółko „Czarnej Róży.“ Jest to dziecięco niewinny i naiwny w swej tajności związek, mający na celu „samokształcenie,“ szukanie nowych, nieoficyalnych dróg, któremi dochodzi się do... gwiazd.

Nieśmiertelny, wiecznie żywy, co rok odradzający się młodzieńczy instykt filaretyzmu, *wielbienia cnoty*, szukania prawd, marzenia o wielkiej świętej sprawie jutra..

„Na stancyi“ kwitnie „Czarna róża.“

„Święć się, święć się wieku młody!..“

Aktem drugim wprowadza nas autor w mury c.-k. gimnazyum. W klasie VIII-ej kończy się „wielka pauza.“ Ruch, gwar, wrzask; butersznuty. Młodociane stado ludzkie, miniaturowe społeczeństwo w pełni życia, zróżnicowane i tworzące całość, którą nazywa się: ósma klasa w czasie paury.

Rozmaitego kroju mundurki; od kwadratowej czarnej łąty na „niewypowiedzialnych,“ przyszytej z zewnątrz w „niewymownym“ punkcie figury, aż do łokciowego generalskiego kołnierza dandysa w białej kamizelce i ponsowym krawacie. Pośród kolegów „z towarzystwa“ krążą widokówki ze specjalnościami, popisowy numer „Bociana“ i najnowszy tomik „Tajemnic detektywa,“

Dzwonek; pauza skończona. Ponieważ Sokotniewicz, profesor psychologii, spóźni się, zastąpi go Bej, profesor historii.

Pan profesor wszedł. Łagodny, dobry, poczciwy, przyjaciel młodzieży. Więc... wita go humorystyczny zgłęb młodzieńców. Bej przyjmuje powitanie dobrotliwie, nie obraża się, lubi swoich uczniów. Więc... uczniowie lubią go, lecz „dokazują“ coraz głośniejsze, kompromitujące, swawolne, lekceważące, niewdzięczne, niegrzeczne. Bej „trzyma mowę“ o dobrem wychowaniu, uprzejmości i serdecznych stosunkach między uczniami i nauczycielami. Odpowiada mu ryk humoru: biedny Bej miesza się; w końcu przecież nie przychodzi tu bawić swoją siwą głową tych smyków, lecz wykładać!

Taki jest „dobry profesor“ i tak go ocenia młodzież.

— Pan Sobotniewicz idzie! — zwiastuje uczeń X. Bej ustępuje mu katedry, wychodzi odprowadzany pół serdecznym, pół złośliwym szmerem.

Nagle ucichło, jakby za dotknięciem różgi czarodziejskiej — „klasa“ wstaje, „jak jedna mężczyzna:“ wszedł Sobotniewicz „sekujący,“ zły, surowy, impertynencki, gwałtowny. W klasie słychać pierwszą muchę. Uwaga, skupienie. Teraz dopiero... zaczęła się „godzina.“

I trudno oprzeć się wrażeniu złośliwości i poziomości natury tych młodych ludzi — żartują z rozumnego i dobrego nauczyciela Beja, szanują (boją się?) oschłego urzędnika Sobotniewicza.

Podobno stado ludzkie jest zawsze stadem w młodości i w starości.

Prócz tej refleksyi nasuwa się inna, a miłsza: poczucie solidarności w krzywdzie, jaką robi Sobotniewicz najlepszemu z klasy, Orzelskiemu, znieważając go słowem prostackiem.

„Wszyscy za jednego,“ — to głos młodości (w późniejszych latach, może nawet ci sami, gdy dojrzeją, chętnie będą mówili: jeden za wszystkich... braci śpiących, braci tępych, braci ostrożnych...

Po akcie trzecim, potrzebnym autorowi dla wypełnienia obrazu, poprawnym, lecz błędnym wobec innych, rozwija autor w akcie ostatnim przezabawny obraz niedzielnej „konferencji” prowincjonalnych pedagogów i to konferencji „dyscyplinarnej.” Sądzoną jest sprawa Orzelskiego, bunt klasy i obraza profesora Sobotniewicza.

Właściwie, zbyt może karykaturalnie ustawił p. Kawecki rusztowanie tego aktu: ma być sądzone uczeń za to, że mu profesor powiedział: durniu! Widocznie autor, jak przystało na postępowego pedagoga, bierze stronę młodzieży; zazwyczaj bowiem zdarza się, iż to profesor, usłyszawszy mniej miły epitet, pociąga krnąbrnego młodzieńca przed sąd konferencji dyscyplinarnej. Lecz to drobnostka; ostatecznie sprawa skończyła się dobrze, bo zgodą i przeproszeniem profesora.

Nie o bajkę chodziło tutaj profesorowi, lecz sposobność o rozwinięcia rozmaitych poglądów na dzisiejszy ton wychowawczy galicyjskich gimnazyjów.

Z tych, utkwili nam przedewszystkiem frazes ujmujący kwestyę w jej istocie: „bądźmy przyjaciółmi młodzieży, szanujmy w uczniu małego człowieka!”

Zapewne, iż to *pium desiderium* pedagogii jest jej podstawą, tak, jak i dawniej... w teorii; w praktyce jest trudniejsze do wykonania, niżby się to zdawało na pierwszy rzut oka.

Zawód nauczycielski liczyć winien w swem gronie, *jedynie, bez wyjątków*, pedagogów z powołania, z talentu i z zamiłowania, zupełnie tak samo, jak zawód kapłański i poetycki; tymczasem, w żadnej może sferze nie spotyka się tak wielu nie powołanych, nie zamiłowanych, i nie obdarzonych talentem pedagogicznym, jak w tej dziedzinie nauczycielskiej, w którą wchodzi przeważnie ludzie wybrakowani z innych zawodów, lub nie znajdujący dla siebie odpowiedniejszego, przyjemniejszego, rentowniejszego, higieniczniejszego stanowiska.

Nie po raz pierwszy zapewne jest sposobność zwrócenia uwagi na wyjątkowo wysoki procent wśród pedagogów—ludzi fizycznie niedomagających, nerwowych, jak telegrafisci lub telefonistki, wątłych, słabych. I jakże od takich niedorodnych wymagać cierpliwości, spokoju, panowania nad sobą i młodzieżą, od której spodziewać się wolno wszystkiego, prócz wyrozumiałości i zrozumienia takiego, jakim nie każdy dorosły może się poszczycić.

Pedagog! Do tego słowa przyłgnęło coś nie cos; więcej, aniżeli mniej — z humorystyki...

A młodzież jest bardzo wrażliwa na śmieśność; a młodość umie być niejednokrotnie bezlitosną, szyderczą, nieraz złośliwą.

Nigdy nie zapomnę już wówczas przykrego dla mnie widoku naigrawań się z młodego, ukształconego księdza katechety szóstej klasy gimnazjum N. Nieżyjący już dzisiaj ks. Szpak, był ascetą; biczował się; idąc przez ulice miasta modlił się ustawicznie; młodzież kochał, katechizował z przejęciem, lecz — nazywał się Szpak, miał nieproporcjonalny duży nos, jękał się i z widocznym wysiłkiem, jakby chcąc siebie umartwić, hamował swoją popędliwość.

Dusza anielskiej czystości i dobroćliwości, umysł wyższy, przejęcie się zadaniami mesyanicznymi, — lecz cóż to wszystko znaczyło dla niedorostków, wobec—suchego nosa Szpaka!

Co ten księżyna wycierpiał od swoich uczniów, jak wyrafinowanie i grubiaństwo na przemiany był torturowany, to tylko widzieć i słyszeć było trzeba, bo opisać trudno! Ajednak—przyznać należy... był śmieszny.

Wśród swoich kolegów celował humorem niejaki Wysocki. Ile razy wypadła ks. Szpakowi „wyrwać” Wysockiego, czynił to z formalnym przerażeniem, wpatrywał się zdrewniałym z trwogi wzrokiem w iskrzące zło-

śliwością niebieskie oczy swego szatanka. Ten nie zawiódł nigdy ani męczennika-katechety, ani kolegów, parszających śmiechem; gdy skończył „pytać” katecheta, wtedy zawsze rzucał pytanie uczeń i to takie, że na nie w żaden sposób nie można było odpowiedzieć, zwłaszcza księdzu, zwłaszcza ks. Szpakowi.

Ks. Szpak jękał się i miał wymowę bardzo wiejską. Pewnego razu zaczął wykład w ten sposób:

— Dzisiaj opowiem wam widzynie świętego Nepomucena.

Świnty Nepomucen modlił się długo, aż przyszło na niego widzynie. I widzieli świnty Nepomucen wielgom górę, a za tom górą łunczke (łąckę), a za tom łunczkom lasek, a za tym laskiem wodę, a za tom wodom łunczke, a na ty łunczce...

...A na tej łunczce siedział szpak! — odezwał się z oślej ławy Wysocki.

Wyobraźcie sobie teraz ten wybuch śmiechu czterdziestu chłopców!

Ks. Szpak zbladł jak płótno i z rozpaczą zawołał:

— Wysocki, czymu mie prześladujesz, Wysocki! Com ci zawinił, powiedz, czemu mie prześladujesz?! Proszę cie na wszystko, zaklinom cię Wysocki, powiedz, com ci zawinił, że mie prześladujesz?!

Tu łzy, prawdziwe łzy nieporadnej męki dziecka, które nie umie się bronić, spłynęły na wysuszoną postami twarz księdza...

A klasa przestała się śmiać głośno, lecz śmiała się dalej... cicho, ironicznie, ze złościwą uciechą złej natury, czującej rozkosz znęcania się nad... bezbronnym.

Wprawdzie znalazło się kilku rozumniejszych, którzy wymogli na Wysockim, iż przeprosił katechetę, lecz ile upokorzenia było w takim przeproszeniu, które już nie mogło podnieść powagi jego wobec chłopców! Zresztą — tydzień nie minął, a biedny katecheta znowu stał się tarczą szyderstw, szykan i łatwych dowcipów, bo... rzeczywiście był śmieszny, bo od młodości nie należy spodziewać się wyrozumienia...

W czwartym akcie „Szkoły” Kaweckiego mamy widok trzynastu pedagogów na „konferencji dyscyplinarnej.” Prawdziwa klatka małpów! Niepodobnie jest, aby którykolwiek z tych niemal ułomnych, mógł wzbudzić uszanowanie w krytykujących umysłach młodzieńców i dzieciaków.

Plastyczne wskazanie tej chronicznej i ogólnie istniejącej wady naszej (może i nie naszej) edukacji jest niezaprzeczną zasługą społeczną „Szkoły” Kaweckiego i silniejszym mówi argumentem, aniżeli inteligentne i poczciwe doktryny, które wygłaszają członkowie „ciała nauczycielskiego” na niedzielnej konferencji dyscyplinarnej.

Szczupłe ramy sprawozdania nie pozwalają nam na zastanowienie się nad dawnymi i nowymi doktrynami edukacji; zdaje się, iż może każdy, choćby najstarszy system, doskonale wykonany, będzie lepszy, niż partacko praktykowany najnowszy i najgenialniejszy.

Kończąc, raz jeszcze podkreślamy, iż obok pełnej wartości estetycznej, „Szkoła” Kaweckiego ma i tę, w teatrze nadprogramową, zaletę, iż wielu uczy wiele o nauczaniu, uczących i nauczających

J. A. Kisielewski.

## Salon 1907.

### I.

Tak brzmi oficjalny tytuł czwartej wystawy dorocznej w naszym mieście: tytuł ten

ma zupełnie racjonalne podstawy, gdyż rzeczywiście w roku bieżącym stanęła do apelu duża większość artystów polskich, a zgromadzone obecnie w salonach naszego Pałacu Sztuki prace przedstawiają plon poważny. Nie dają one jednak pełnego obrazu współczesnej sztuki polskiej, gdyż brakuje tu prac wielu naszych pierwszorzędnych wybitnych artystów, bez których nie możemy zrobić dokładnego bilansu rocznej działalności naszej na polu sztuki (a to zdaje się być głównym założeniem Salonu). W każdym razie, w porównaniu z ubiegłymi latami, wystawa przedstawia się okazale i nie należy tracić nadziei, iż za lat parę, zdoła ona zapewnić sobie uczestnictwo wszystkich wybitniejszych artystów. Takie skoncentrowanie raz do roku polskiej twórczości w dziedzinie sztuki, zogniskowanie niejako wszystkich naszych sił artystycznych, których produkcje często bywają ozdobą wystaw zagranicznych, z prawa należy się Warszawie, jako największemu z miast polskich, choć co prawda, nie odznaczającemu się dotąd wysoką kulturą estetyczną. Hegemonię, pod tym względem, miał do tej pory Kraków; tem bardziej zatem pragnąć należy, aby Warszawa starała się dorównać mu, a z czasem i prześcignąć w wytworzeniu atmosfery artystycznej, niezbędnej dla dalszego pomysłowego rozwoju naszej sztuki. Pierwsze kroki w tym kierunku zrobiono właśnie; przypatrzmy się zatem dokładniej ich dotychczasowym rezultatom.

Ogólne wrażenie tegorocznego Salonu jest bezwarunkowo dodatnie, chociaż nie pozbawione pewnej chaotyczności, wypływającej z ogromnej różnorodności zgrupowanych tu prac, nie zawsze szczęśliwie porozmieszczanych, ze względu na sąsiadujące z sobą wielkie przeciwieństwa kierunków.

Zauważyć to się dało głównie zaraz po otwarciu wystawy, gdyż obecnie powoli wiadać starania o odpowiednie rozmieszczenie obrazów.

Wiele tu znajdujemy prac o wysokiej wartości artystycznej; noszą one piętno niezaprzeczonego talentu i kultury, są one zajmujące, zarówno pod względem sposobu patrzenia na naturę, jak też rodzaju technicznego wypowiedzenia się artystów naszych; takich obrazów na obecnej wystawie znajdujemy ilość pokaźną, nema jednak ani jednego dzieła, któreby siłą swej potęgi twórczej bezwzględnie przykuło do siebie, niema tak zwanego *clou*, t. j. obrazu panującego nad wszystkimi i bezwzględnie wyróżniającego się wśród innych. Nie można atoli stawić tego jako poważnego zarzutu, albowiem arcydzieła nie rodzą się na poczekaniu.

Z wystawionych obrazów największe wrażenie artystyczne wywołuje Chełmońskiego: „Poranek na Polesiu.” Wielki nasz poeta barw dał dzieło pełne nieuchwytnego czaru i smętnej melancholii, subtelnie nastrój chwili podkreślającej. O perłowo-szarym, zlekka zróżnicowanym świetle wczesnego poranku, snują się po ziemi mgły siwe, przejrzyste, i tajemniczą zasłoną otulają szereg chat wiejskich, których zaledwie dachy z tradycyjnym boćkiem na gnieździe ciemną sylwetką znaczą się wśród ogólnych, przejrzysto-szarych tonów pejzażu. Motyw nieskomplikowany, a dziwnie zajmujący, bo przez przyzmat duszy wielkiego artysty przepuszczoney — obraz prosty, a głęboki swą treścią uczuciową, tęskną zadumą takiego poranku na Polesiu mistrzowsko odtwarzającą.

Niedaleko Chełmońskiego znajdujemy inny, zupełnie odrębny, a bardzo wybitny motyw pejzażowy — to obraz Bakalowicza „Powitanie Khonsoo.” Po szarym, w chłodne mgły spowitym poranku na Polesiu przenosimy się pod upałą, żarem przepojone niebo Egiptu; na gorąco złotym, ogólnym tonie bardzo ciekawie przedstawiają się sylwetki zamodlnych, brunatnych synów Południa w chara-

akterystyc  
komicie o  
wno w r  
prawie r  
stawach;  
pod wzg  
technika  
być such  
nej harm  
wadzenie  
wa, a ni  
gółu; obr  
dzo, robi  
leżą do  
wytawie

Prócz  
trzy inne  
w górny  
janka.“

Z pom  
mieszkał  
wystawia  
nachium  
sze szkoł  
razu i pl

Znakor  
rakleryst  
żnia się  
dróży.“

Doskor  
kach prz  
skiego, a  
siadają  
twórczoś

Każda  
giwałaby  
jednak r  
ryału.

„Salon  
o których  
i sobie r

POD

Przysu  
z miną sz

Ona, ja  
pod uroki  
knęła ocz  
stali przy

Muzyka  
Po za  
i stanęła

nej powł  
blada i n  
ści pełny  
się pobła

Z dziec  
cych: Ste

Hela s  
— Boż

teraz pok  
Poznają,  
fan będzi  
ko, prędk  
To mów  
krzaki bz



kterystycznych białych szatach; postacie znakomicie oświetlone, nader interesujące zarówno w ruchu, jak i w wyrazie. Bakalowicz — prawie nie spotykany gość na naszych wystawach; a artysta to dużej miary, zarówno pod względem talentu, jak i kultury. Jego technika drobiazgowo wykończona, mogłaby być suchą, gdyby nie wielkie wyczucie ogólnej harmonii, oraz bardzo umiejętne przeprowadzenie całości, z której nie się nie wyrwa, a niema też żadnego zbytecznego szczegółu; obrazy Bakalowicza, choć spokojne bardzo, robią wysoce artystyczne wrażenie i należą do najwięcej interesujących na obecnej wystawie.

Prócz wyżej wspomnianego ma on jeszcze trzy inne prace, zatytułowane: „Przy studni w górnym Egipcie,“ „Rhamsin“ i „Pompejanka.“

Z pomiędzy innych naszych artystów, zamieszkałych zagranicą i nie często w kraju wystawiających, nadesłał prof. Brandt z Monachium trzy prace, może trochę już dawniejsze szkołą, ale doskonałe; malowane, pełne wyrazu i plastyki.

Znakomitym tonem ogólnym i świetną charakterystyką zarówno koni, jak i ludzi wyróżnia się obraz tego artysty „Przygoda w podróży.“

Doskonałym też jest pejzaż zimowy w „Dziakach przed obławą“ Alfreda Wierusza Kowalskiego, a oba obrazy Wojciecha Kossaka posiadają wszystkie charakterystyczne zalety twórczości cenionego artysty.

Każda z wyżej wspomnianych prac zasługiwałaby na obszerniejsze omówienie, co jest jednak niemożliwością wobec ogromu materiału.

„Salon“ zgromadził około 400 dzieł sztuki, o których w dalszym ciągu pomówię pozwoleń sobie następnym razem.

Z. Skorobohata-Stankiewiczówna.



SARYUSZ.

(ZOFIA CIESZKOWSKA).

## PODWÓJNA MORALNOŚĆ.

SZKIC POWIĘSICIOWY.



(Ciąg dalszy).

Przysunął się do niej z ogniem w oczach, z miną szczęśliwego zdobywcy.

Ona, jakby pod zaklęciem jego siły, jakby pod urokiem, zwróciła ku niemu głowę i przymknęła oczy, a on objął ją ramieniem i tak stali przytuleni do siebie, szczęśliwi.

Muzyka ucichła.

Po za nimi uchyliły się drzwi cichutko i stanęła w nich wątła postać kobieca, w czarnej powłóczystej sukni, o siwych włosach, blada i niezmiernie smutna. Wzrokiem miłości pełnym objęła młodą parę i uśmiechnęła się pobłażliwie.

Z dziedzińca dobiegał już głos powracających: Stefana z ojcem.

Hela skoczyła spłoszona.

— Boże! słyszę głos ojca. Jak ja im się teraz pokażę. Jestem czerwona, jak burak... Poznają, że pan... Pan jest szkaradny... Stefan będzie się wyśmiewał. Skryjmy się prędko, prędko!

To mówiąc, pociągnęła Zygmunta między krzaki bzu i jaśminu ocieniających ganek.

W tejże chwili panowie weszli na ganek. Raclawski spojrzął na żonę pogardliwie i odwrócił się od niej.

Ona zmieszana się, zbladła i cofnęła w milczeniu.

Syn, choć przywykł do tego widoku, patrzył jednak na to z jakimś bolesnym zdziwieniem.

I posmutniał zamysłony.

— Tak, synu — mówił Raclawski, siadając na ławce, odwrócony tyłem do ukrytych, — Bóg mi pozwolił dożyć tej pociechy, że to wszystko, w co tyle pracy włożyłem, mogę w twoje oddać ręce. Skończyłeś chlubnie nauki zagranicą, masz rozum, zapał, energię, poczucie obowiązku, cnoty obywatelskie...

— O, mój ojciec — przerwał mu Stefan gorąco, — jeśli mam trochę zamiłowania do pracy i poczucia obowiązku, tobie to zawdzięczam, boś ty mi, ojciec, był wzorem.

Raclawski z zadowoleniem i dumą spojrzął na syna.

— Kocham też w tobie nie tylko syna, ale i dziedzica mej pracy, którą ci przygotowałem i ułatwiłem. To będzie moją chlubą i mojem szczęściem. Jutro zaraz pojedziemy do rejenta, cały majątek na ciebie przepiszę. Siostrę spłacisz lasem. Jam już stary, a raczej... przedwcześnie zjadło mnie życie... Żyło się trochę, nogi mi już cokolwiek, panie tego... Czas spocząć. Niechaj się teraz moje oczy cieszą tobą. Ty nie uwierzysz, synu, jakem ja za tobą tęsknił i jak pragnąłem dożyć tej chwili.

— Z radością, mój ojciec, będę się uczył od ciebie i wstępował w twoje ślady, bo pracę na roli przekładam nad inne, a ten kawałek ziemi kocham gorąco.

Po chwili mówił z przejęciem:

— Czuję w sobie zapał, pełnię życia i tak was i to wszystko dokoła kocham serdecznie. Ileż razy, tam na obczyźnie, sniły mi się nasze łąki i lasy, jak całą duszą rwałem się do naszych pól rodzimych, do szumu starych wierzb i topoli. One mi w serce wrosły. Z jakąż ja tęsknotą wracałem tutaj. Co to za szczęście mieć szmat własnej, ojczystej ziemi!

— Obyś ty był szczęśliwy, mój synu.

Nagle zachmurzyło się czoło Stefana i zgasł płomień w jego oczach. Jakaś myśl, jakaś walka wewnętrzna odbiły się na jego wyrazistej twarzy.

— Szczęśliwy jestem... tak... A jednak... Nie, nie, to raz trzeba wyjaśnić... to tak trwać nie może... to zanadto boli. Daruj, ojciec, chciałbym się zapytać... Mnie to oddawna nurtuje i spokoju nie daje.

Potarł czoło z zakłopotaniem.

— I teraz, ojciec, przed chwilą, serce mi się ścisnęło boleśnie...

— Cóż takiego?

Stefan spojrzął w oczy ojcu badawczo i po chwili wybuchnął:

— Ojciec, wiem, że dramat jakiś tkwi w życiu mej matki. Obijało mi się to o uszy, choć strzeżliście mnie przed tem i wywozili za granicę... Widziałem pogardę w jakiej matka żyła, pamiętam, jakieś ty, ojciec, z nią się obchodził... widzę, jak dotąd jeszcze...

Chwycił się za głowę.

— O jak mnie to bolało, jak bardzo bolało i boli!... Ojciec, coż matka uczyniła?

— Jeśli nie wiesz, nie słyszałeś, nie pytaj mnie.

— Jakto? matka, ten nasz anioł? ta nasza święta?!

— Ja ci tego powiedzieć nie mogę.

— A jednak ja wiedzieć powinienem, muszę! Czy myślisz, ojciec, że to nie rzuciło posępnego cienia na nasze życie, że nie nurkowało długo w naszych dziecięcych sercach? Ja, Helusia nawet, ten dzieciak, czuje to daleko głębiej, niż myślisz, mój ojciec.

Raclawski westchnął.

— Wiem, wiem, uważałem...

— Bo my ją ubóstwiamy... a czujemy, że to życie złamane było od początku. Jej łzy padały na nasze główki dziecięce i wyrwały się w sercu głęboko. Ojciec, ja z ust twoich wiedzieć powinienem; bo ludzie nie zawsze byli dyskretni i mimo waszych zabiegów dochodziły nas słowa, od których drętwiały nasze serca. To, co mówią, to potwarz niegodna! Ojciec, twoim obowiązkiem jest powiedzieć mi prawdę.

— Więc dobrze — rzekł Raclawski z determinacją. — Ale pamiętaj, że ty sam żądałeś tego odemnie. Tak, może i masz prawo wiedzieć z ust moich o wszystkim... Dowiedz się zatem, że matka twoja, że matka... ach, ciężko mi o tem mówić... przeniewierzyła mi się, złamała wiarę i... uciekła ode mnie i od was, dzieci... do innego...

Cichy jęk odezwał się w zaroślach. Stefan chwycił się za głowę. Nastąpiła długa, ciężka chwila milczenia, chwila, w której kilka serc zamierało z bólu.

— A więc to prawda? — jęknął Stefan.

— Tak! — krzyknął Raclawski, — a ja hańby mej nigdy nie daruję!

Głęboka boleść odbiła się na twarzy Stefana. Jego wyniosła postać prawie się zgięła pod ciężarem tych strasznych słów.

Nagle wyprostował się — oczy mu błysnęły. Podniósł wzrok na ojca i z wolna, dobitnie, z naciskiem spytał:

— A ty, mój ojciec, daruj, że o to pytam, nie zламаłeś nigdy matce wiary?!

Zdumienie odbiło się na twarzy Raclawskiego.

Ojciec patrzył zdumiony na syna, syn zaś na ojca surowym i badawczym wzrokiem siedzi.

Wreszcie ojciec przemówił:

— Co za pytanie? Wiesz przecie, że nie żyję z twoją matką.

— Ale przedtem, przedtem, przed jej ucieczką?

— Przed jej ucieczką?

Raclawski z osłupieniem podniósł ramiona w górę i spojrzął na syna tak, jak się patrzy na człowieka nieprzytomnego.

— No to i co? — zapytał niedbale. — Czemu o to pytasz i co to ma do rzeczy?

— Więc przyznajesz, ojciec, żeś matce nie był wierny, przed jej ucieczką?

Teraz Raclawski wybuchnął.

— Nie był wierny! Cóż to znaczy? Byłem taki, jak wszyscy!

Roześmiał się drwiąco.

— Cóż, może widziałeś męża, stałego, jak Penelopa? Nie jesteś przecie dzieciakiem, że bym cię potrzebował przekonywać o rzeczach najzwyczajniejszych pod słońcem.

— Aaa... taak... a matka... wiedziała o tem?

— A rozumiem... Chodzi ci o okoliczności łagodzące... mogę ci ich dostarczyć... Rzecz się tak miała. Widzisz, mój chłopcze, choć się ożenisz, pokus nie unikniesz. Już to płeć piękna, to są prawdziwe sidła. A krew, nie woda. Co?

Uderzył syna po ramieniu, uśmiechnął się tryumfująco i trochę przyciszonym głosem ciągnął:

— Podobała mi się między innymi wiejska dziewczyna, Hanka. Ładna była!

Potarł czuprynę.

— No, trochę się zagalopowałem. Historia stała się głośna. Bo to, mówię ci, wszystko można, byle po cichu. Otóż wasza matka pewnego wieczoru podsłuchiwała jak rozmawiałem z Hanką i wyobraź sobie, ta kobieta... ta kobieta, która istotnie była wyjątkowo uczciwa, piechota, jak stała, w noc ciemną i zimną, podczas burzy, uciekła do sąsiada, o którym wiedziała, że się w niej kocha...

Dyszając z uniesienia, dokończył:

— Minęło tyle lat... a gdy, o tej hańbie pomyślę, mam ochotę dziś jeszcze, tak jak, wtedy, w łeb jej palnąć!

(Dokończenie nastąpi).



## Odczyt hr. Moriconi.

### „Dusza prostytutki i środki jej odrodzenia.“

Gdy hrabianka Moriconi wstępuje na estradę, wiem, że przez usta jej usłyszę głos sumienia społecznego. Głębokie odczucie smutnej życiowej prawdy, gorące pragnienie usunięcia ciężkiej krzywdy ludzkiej, nadaje jej przemówieniom tę siłę przekonywania i wzruszania, której najbłędsze krasomówstwo nie zastąpi.

Dusza prostytutki to dla nas temat nowy. Nie nam o tem nie mówiono, bo i któż sobie zadał trud badania tej sprawy? A przecież, jeżeli owe istoty upadły i wzgardzone mają się podźwignąć, to społeczeństwo winno im w tem dopomóc, gdyż po większej części, ono samo jest przyczyną ich zwyrodnienia. Żeby zaś dopomóc, trzeba wnikać w psychikę tych nieszczęśliwych.

Mówcy rozróżnia wśród prostitutek trzy kategorie: 1) jednostki moralnie zwyrodniałe, obciążone dziedzicznie, dotknięte różnymi objawami histeryi; tam działanie złych instynktów jest tak silne, że praca moralna nad nimi jest prawie beznadziejna. 2) Dziewczęta, które do złego skłaniają pokusy, nie mające przyrodzonych złych skłonności. 3) Wreszcie istoty najniebezpieczniejsze, zmuszone do prostytucji przez głód, lub podstępny wyzysk. Dusza tych kobiet pozostaje czystą, choć żyją w atmosferze kłamstwa i szyderstwa; w bagnisku moralnym, w którym grzęzną, tęsknią do czystej atmosfery, a gdy jakaś pomocna ręka wydobędzie je z niego, stają się wzorowymi pracownicami, żonami i matkami.

Cheąc oddziaływać dodatnio na prostytutki, trzeba się liczyć z właściwościami ich pierwotnych natur, trzeba uwzględnić przede wszystkim te pierwiastki, które w nich najsilniej się objawiają: instynkt zmysłów wraz z poszanowaniem macierzyństwa. Najwłaściwszą drogą do tego celu jest wydawanie ich (rozumie się po odrodzeniu), za mąż. Przeważnie bywają bardzo dobrimi żonami. Z 52-ch

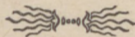
małżeństw, o których wie prelegentka, tylko w jednym wypadku zgoda małżonków szwankowała i to, z winy małżonka.

Do czynników, zbawiennie działających na odrodzenie moralne prostitutek, zalicza również prelegentka pracę na łonie natury i uczucia religijne, zdrowo pojmowane.

Zakłady specjalne uważa mówczyni za niezupełnie celowi odpowiadające; wiele lepszym byłoby rozmieszczanie upadłych dziewcząt wśród rodzin, w otoczeniu atmosfery moralnie czystej i zdrowej; jednakże ze względu na stosunki i poglądy współczesne, jest to dzisiaj niemożliwe. Byłoby pożądanem, żeby prostytutki zakład opuszczające, znajdowały służbę w domach prywatnych; prelegentka wszakże nadmienia, że odstręcza je od tej pracy konieczność kłamstwa i ukrywania swej przeszłości. Tak w tym, jak i w innych wypadkach, ci, którzy pragną przyczynić się do moralnego odrodzenia nieszczęśliwych istot, powinni się kierować przede wszystkim wyrozumiałością i współczuciem.

Prelegentka zakończyła gorącym wezwaniem społeczeństwa do współdziałania w pracy, w której dotychczas jej odosobnione trudy bardzo nie wiele dokonać mogły. Sądzi, że głos jej nie przebrzmi bez oddźwięku, a gorący okłask, jaki wczoraj w podziękcie odebrała, jest zapowiedzią tego oddźwięku i wyrazem uznania dla jej znacznej i niestrudzonej działalności.

z. b.



## Z Towarzystwa badań nad dziećmi.

### „O samobójstwie u dzieci.“

Towarzystwo badań nad dziećmi urządza szereg odczytów z psychologii wychowawczej; pierwszy odczyt z tej seryi wygłosił w ubiegłym tygodniu d-r Władysław Chodecki w lokalu „Uranii.“

Prelegent rozpoczął swój wykład od ogólnych spostrzeżeń nad stanem psychicznym samobójców i zapoznał słuchaczy z bogatym materiałem, jaki dotąd nauka doświadczała w tym kierunku zebrala. Badania psychiatrów, opierające się na obserwacji faktów wykazały, że skłonność do samobójstwa jest objawem chorobliwym, zбочeniem władz duchowych, przekazującym się dziedzicznie. Natle takiego dziedzicznego obciążenia rozwija się z łatwością melancholia, a jednostka nią dotknięta, za działaniem wewnętrznych pobudek szybko stacza się po tej pochyłej linii do najniższego punktu depresji moralnej i popełnia samobójstwo. Psychika osobników objawiających skłonności samobójcze, wykazuje małą odporność woli, obawę życia i związanych z nim cierpień, słabe zainteresowanie się ogólnoludzkimi dążeniami. Ważną rolę w potęgowaniu tych czynników wewnętrznych grają wpływy pośrednio działające, do takich zalicza prelegent oddziaływanie literackich utworów o nastroju pesymistycznym, niesmak do życia budzących, oraz pewne prądy filozoficzne, jak materializm i krańcowy indywidualizm. Stwierdzono również, że w wielu wypadkach samobójstwa bywają popełniane za wpływem popędu naśladowczego i przejęcia się poematami apoteozowanymi przez współczesnych („Manfred“, „Werter“ i t. p.). Smutna kronika faktów wykazuje, że ogromny procent samobójców przypada na młodzież szkolną w wieku od 15 do 20 lat. To wymowne świadectwo cyfr rzuca złe światło na współczesne stosunki szkolne i przyjęty w nich system pedagogiczny.

W Londynie zawiązało się specjalne Towarzystwo międzynarodowe do rejestrowania

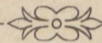
wypadków samobójstw wśród uczniów w rozmaitych krajach, z opisem pobudek rozpaczliwego czynu. D-r Chodecki proponuje, by „Polskie Towarzystwo badań nad dziećmi“ wzięło udział w pracy tego komitetu międzynarodowego.

Z ciekawych zestawień statystyki samobójstw, w różnych krajach przez młodzież szkolną popełnianych, wynika, że najciemniejszej rubryki dostarczają tu Prusy. Despotyczny system przenika nawskroś tamtejsze szkoły, a trzcina i kara cielesna uważane są dotąd za najstosowniejsze czynniki wpływu moralnego. Poznajemy ten system po jego owocach! Niestety, między ofiarami znajduje się nasza polska dziatwa, a jedenastoletni Szeceśniak, samobójca ostatniej doby, jest tej martyrologii świeżym i bolesnym dowodem.

Następnie przeszedł mówca do środków zaradczych przeciw skłonności samobójczych wśród młodzieży. Za najpierwsze zadanie uważać tu należy zreformowanie stosunków szkolnych.

Wychowawcy powinni przy rozwijaniu charakteru zwracać baczną uwagę na wzmacnianie woli, na potęgowanie tej energii moralnej, która wytworzyć może równoważnik duchowy, w walkach życiowych podporę stawiący.

z. b.



## Ze Stowarzyszenia Równouprawnienia.



Na obradach, w sprawach odczytowych, w Stow. równouprawnienia kobiet polskich, postanowiono urządzać cały szereg odczytów popularnych: z zakresu higieny (d-r Kramsztyk), prawa i polityki (p. Koszutski), wreszcie sztuki. Ten ostatni pomysł jest bardzo udatny; — p. Jaroszevska ma w dwóch wykładach skreślić pobieżnym rysem dzieje sztuki ilustrując je obrazami nikiącami.

Na jednym z wieczorów w temże Stowarzyszeniu, poświęconych kwestyom społeczno-ekonomicznym, odczytała pani Lindenbergo-wa referat, streszczający kilka pism kobiecych zagranicznych; bardzo ciekawym punktem tego referatu było sprawozdanie z ankiety do służących w Norwegii. Dowiedzieliśmy się z tego streszczenia, że w kraju, który tak często za wzór pod względem urządzeń ekonomiczno-społecznych stawiany, nie wiele panują lepsze niż u nas stosunki służby domowej z chlebodawcami i naodwrot.

Służące norweskie skarżą się, że nie czują żadnej życzliwości w obejściu się z nimi „państwa“, że są w domu obce i nikt się z nimi nie liczy. Przytem (i to już dowód wyższej niż u nas kultury), chciałyby mieć w życiu choć trochę piękna, skarża się, że pokoik służącej mieści tylko łóżko i umywalkę, a trudno jest mieć jakiś obrazek, kwiatek, lub parę książek. Ze strony pań znów widzimy różne objawy niezadowolenia (zupełnie jak u nas) i rady, od najdziwaczniejszych, jak przymuszanie służących do pozostawiania na miejscu, aż do racjonalnych, proponujących zakładanie związków zawodowych służby, kas pomocy, emerytalnych, posagowych i t. p.

N. J.



## Przemiany polityczne i rozwój prasy.

Przesilenie dzisiejsze, którego świadkiem było społeczeństwo polskie w ciągu ostatnich

lat paru, w sposób znamieny odbiło się na stanie prasy warszawskiej. W zawierusze społecznej i politycznej, zginęły bezprownie dziesiątki czasopism, z pośród dzienników przestały wychodzić trzy organy, które mają potężną kartę w historii prasy polskiej. „Gazeta Warszawska,” „Kurier codzienny” i „Wiek.” Niektóre stare pisma w tym czasie bardzo podupadły finansowo, a więc i redakcyjnie, wiele powstało w wydaniach nowych, nie zawsze rokujących wielkie nadzieje.

Razem biorąc, ekonomicznie, prasa warszawska przeżywa kryzys, co też zniesienie cenzury nie we wszystkich pismach umiano wyzyskać należycie, by organy wznieść na poziom właściwy, godny ambicji kulturalnych wielkiego narodu.

Rozpatrując się wśród pism starych i nowych, jedno wydawnictwo szczególnie rzuca się nam w oczy i budzi podziw jak wysoko sztandar swój wznieść umiało, to—„Tygodnik Ilustrowany.”

Najstarsza w Polsce ilustracja, organ niemal półwieku liczący, nie ugiął się w tym czasie pod ciężarem represji i wstrząśnień przebywanych w społeczeństwie, lecz z młodzieńczym rozmachem przeistoczył się, zastosował do zmienionych warunków i—stał dziś nie tylko już na czele prasy polskiej, lecz wybić się potrafił na czoło czasopiśmiennictwa europejskiego.

W tym roku „Tygodnik Ilustrowany” na wystawie w Louvain, w Belgii, na rekordzie prasy europejskiej otrzymał jedną z pierwszych nagród—*grand prix*, wraz z wielkim medalem złotym. Dowód to chyba dostateczny, jak wysoko szacują już dziś to polskie wydawnictwo wśród obcych, na Zachodzie. W pismach zagranicznych pełną garścią, widzimy zresztą, nauczono się już czerpać materiały ilustracyjne z „Tygodnika,” dającą tę drogę możliwość zapoznawania się cudzoziemców ze sztuką polską i obrazami aktualnymi z chwili bieżącej.

W ciągu roku ostatniego, obok zwykłych numerów „Tygodnik Ilustrowany” obdarzył czytelników zeszytami specjalnie zagadnieniom poświęconymi. A więc wydano numer Litwy, Powstania 1863-go roku, Konstytucji 3-go Maja, Grottgiera, Wyspiańskiego, sztuki fińskiej, węgierskiej, angielskiej, Niemcy a Polska, „Nie zabijaj” i t. d. Zeszyty, które wyczerpywały zagadnienia tak w artykułach, jak ilustracjach.

Obok wysokiego swego poziomu literacko-artystycznego, „Tygodnik” z wielką umiejętnością, w poważnym ujęciu pierwszorzędnych publicystów, obrazuje od pewnego czasu „Chwilę bieżącą,” aktualnością, śmiało to mówimy, nie dając się wyprzedzić żadnemu pismu polskiemu, ani zagranicznemu.

Na rok przyszedł, jak czytamy w prospekcie tego wielkiego organu, redakcja zapowiada dalsze ulepszenia techniczne, a w zapowiedziach literackich ogłasza, że drukować będzie dwa, nader wartościowe, nowe utwory powieściowe Bolesława Prusa „Dzieci” i Wł. Reymonta „Lato.” Nadto prenumeratorowie roczni otrzymają wspaniałe premium w postaci wytwornie wydanego albumu Antoniego Kamieńskiego „Duch-rewołucjonista.”

W niezwykle artystycznym ujęciu pierwszorzędnego dziś w Polsce artysty. Rozglądamy się w tym albumie i widzimy odtworzone wszystkie wybitniejsze wypadki, jakie przeżywalimy w kraju w ciągu ostatnich lat 1905—1907.

Pierwsza to próba w artystycznym ujęciu odtworzenia tragicznych chwil, które mamy wszyscy w żywej pamięci. Premium też to niezwykle nie tylko dla odbiorców „Tygodnika,” ale i samego społeczeństwa, któremu przekazuje się na pamiątkę ilustrowaną przez jednego z najprzedniejszych rysowników żywą kronikę epoki historycznych wypadków.

Wydanie albumu było prawdziwie obywa-

telskim czynem redakcji „Tygodnika Ilustrowanego,” które, tak jak dotychczas, zabiegając pisma, niewątpliwie ocenić potrafi należycie społeczeństwo polskie.

Zbyt ustaloną w Polsce opinią ma „Tygodnik,” abyśmy go polecać mieli uwadze naszych czytelników, na tem miejscu z przyjemnością mamy tylko obowiązek stwierdzenia niezwykłego rozwoju tego zasłużonego wydawnictwa, które w trudnych warunkach przeżywanego dożyło tak dumnie wznieść sztandar polskiej prasy.

M. Nałęcz.

## Chwila bieżąca.

— Ag. tel. pet. nadesłała komunikat rządowy, o wykreśleniu w Petersburgu organizacji, mającej na celu szerzenie agitacji wśród wojska, a znajdującej się przy Komitecie socjalno-demokratycznym. Studenci, żołnierze i kobiety należały do tej organizacji.

— W sprawie frakcji socjal-demokratycznej w II-giej Dumie państwowej i związanej z nią organizacji wojskowej, senat w Petersburgu ukończył osądzenie sprawy i wydał wyrok. Z 49-ciu podsądnych uniewinniono tylko 11-tu. Posłowie II-giej Dumy: Anisimow, Dżaparidze, Anikin, Lemtaszadze, Pietrow, Jegor, Sierow, Ceretellij Czaszczyń, student Sapotnicki, Morezena, Sobbotin, skazani na pięć lat ciężkich robót. Siedmiu innych byłych posłów—na cztery lata ciężkich robót. Dwunastu pozostałych podsądnych skazano na osiedlenie.

— Pewien nieprzyjemny konflikt wybuchł w prezydium Dumy. Sekretarz Zamysłowski kazał bez upoważnienia Chomiakowa wydrukować adres prawicy adresowany przez Dumę w trzech tysiącach egzemplarzy. Ponieważ nie miał do tego prawa, większość prezydium oświadczyła się przeciw Chomiakowi. Prezes jednak użył swej władzy i kazał cały nakład adresu skonfiskować.

— Rodiczewowi złożyła adres delegacja studentów Polaków, zaopatrzona 361 podpisów studentów i studentek.

— W 50,000-ch egzemplarzy odbito i rozesłano do wszystkich urzędów gminnych mowę prezesa rady ministrów.

— W Petersburgu, w ciągu okresu rewolucyjnego skonfiskowano 3,000 pudów literatury nielegalnej, którą w tych dniach spalono.

— W fabrycznych okręgach Petersburga, dla zamianowania, z powodu wyroku w sprawie frakcji socjalno-demokratycznej, zastrajkowało 74,000 robotników, z ogólnej liczby 125,000. Rządowe fabryki Putilowskie były czynne. Zakłady naukowe nie funkcyjowały—odbyły się wiece.

— W Moskwie, dla wyrażenia swej solidarności w tej sprawie, 35 fabryk nie było czynnych.

— Zorganizowało się w Kijowie „Koło kobiet polskich,” statut którego jest wzorowany na podobnym kole w Wilnie. Koło składa się z pięciu sekcji: 1) samokształcenia, 2) wychowawczej, 3) ekonomicznej, 4) pracy kulturalnej nad ludem miejskim, 5) pracy kulturalnej po wsiach. Do koła należeć może każda Polka, bez różnicy przekonań.

— Dnia 4-go b. m. miał miejsce zamach na generał-gubernatora moskiewskiego Herschelmana, gdy ten przejeżdżał sankami z adjutantem Oboleńskim. Bombę rzuciła nieznana kobieta, która też najciężej ranioną została: w głowę, nogę i straciła oko. Generał-gubernator wyszedł bez szwanku, adjutant Oboleński został wyrzucony z sanek, które się rozpadły na dwoje. Koniom wypadły wnętrzności. Rannego woźnicę odwieziono do szpitala. Sprawczynię, po opatrunku, zawieziono do cyrkułu policyjnego.

— W Finlandyi toczy się zacięta walka przeciw pijaństwu, z dobrym wynikiem, gdyż w ostatnim 10-cio-leciu spożycie zmniejszyło się z 3:11 litra na mieszkańca na 2:42 litra. Mimo to, dalej walka nie ustaje. Sejm finlandzki rozstrzygnął sprawę radykalnie, zabraniając zupełnie użycia napojów spirytusowych i do takich napojów zaliczone są płyny, zawierające więcej niż 2 1/2% alkoholu.

— W Odesie, podczas rewizji w zaułku Lermontowskim, policja trafiła na silny opór zbrojny; przyjęto ją salwą rewolwerową. W szafce opancerzonej wybuchła bomba, raniąc rotmistrza wydziału ochrony Andrejewa.

— W uniwersytecie Lwowskim znów studenci Rusini wywołali zajęcia podczas imatrykulacji. Rektor uniwersytetu przemówił po polsku, Rusini żądali aby mówił po rusińsku i zaczęli śpiewać pieśni narodowe rusińskie; Polacy zaintonowali pieśni polskie. Wywiązała się bójka na łaski i pięście. Poszwankowanych jest 5-ciu Polaków, 3-ch Rusinów. Przed gmachem uniwersytetu zebrały się tłumy.

— Posel inłoczeski Krámarz, po otrzymaniu od urzędników Banku Handlowego 150-ciu koron na czeską Macierz szkolną, wyraził swą gorącą wdzięczność za dowód solidarności słowiańskiej.

— 18-tu głosami przeciw 9-ciu przyjęto prawo wywłaszczenia Polaków w sejmie Pruskim, tylko z pewnym ograniczeniem. Prawu wywłaszczenia podlegać będzie w Prusach zachodnich obszar ziemi, obejmujący 12 milionów hektarów—w Poznańskim—45 milionów hektarów. Rząd zgadza się na zmniejszenie sumy żądanej przez komisję kolonizacyjną z 400-tu milionów na 265 milionów marek.

— W Berlinie 25,000 robotników jest bez zajęcia. Fabryki w Niemczech ograniczają pracę.

— W Wadowicach, w Galicyi, zmarł O. Rafał Kalinowski, gorący patriota, który w roku 1863-cim wstąpił do oddziałów powstańczych i został ministrem wojny. Przez Murawiewa skazany na powieszenie, na prośbę Rosyan zamienioną na długoletnią katorgę. Po amnestyi, w lat jedenaście, zwolniony, ndaje się do Paryża, gdzie otrzymał miejsce w domu ks. Władysława Czartoryskiego. We dwa lata wyjeżdża do Galicyi i wstępuje do klasztoru OO. Karmelitów. Nadzwyczajną prawością charakteru zdobywa wkrótce stopień przeora w Czernej, następnie w Wadowicach. Niepospolite zalety charakteru Ojca Rafała jednały mu wielki szacunek i cześć i pamięć po nim zostanie niewygasła.

— Oskar II-gi, król szwedzki, zakończył życie d. 8-go b. m. W czasie jego panowania zachodziły nieustanne zatargi z Norwegią, która, po wojnie rosyjsko-japońskiej oderwała się od Szwecyi, zamieniając na państwo niezależne. Następcą króla Oskara jest syn jego, Gustaw V-ty, ożeniony z księżniczką Wiktoryą Badeńską. Duże wykształcenie i talent poetycki (pisywał wiersze pod pseudonimem O. Fryderyka), znamionowały zmarłego króla.

## Od Administracji.

Celem uniknięcia zwłoki w przesyłaniu naszego pisma, upraszamy Szan. Prenumeratorki o wczesne wnoszenie przedpłaty na kwartał następny.

Zwracamy przy tem uwagę, że dla uniknięcia wszelkich nieporozumień, najlepiej wysyłać listy pieniężne bezpośrednio do Administracji „Bluszczu” (Nowy-Świat, 41).

### Treść numeru:

Od Redakcji — Co dzwony mówiły, przez Zofię Świdlerową. — „Anioł pasterzom mówił...” (wiersz), przez T. Prażmowską. — Bez celu, powieść, przez Maryanę Gawalewicz (ciąg dalszy). — Kobieta polska w dziennikarstwie, referat Eugenii Żmijewskiej (ciąg dalszy). — Nasz protest, przez Z. Bielicką. — Z żalobnej karty: Michał Glücksberg (z portretem), przez z. — Głos matki w sprawie rozterki rodziców z dziećmi, przez doktorową Kołmowską. — W Wigilę (wiersz), przez Tadeusza Kończyca. — „Szkoła,” sztuka w 4-h aktach Z Kaweckiego, przez J. A. Kisielewskiego (dokończenie). — Salon 1907-go roku, przez Zofią Skorobohatą-Stankiewiczównę. — Podwójna moralność, szkic powieściowy, przez Saryusza (Zofię Cieszkowską) (ciąg dalszy). — Odczyt hr. Moriconi, przez z. b. — Ze Stowarzyszenia Równouprawnienia, przez N. J. — Przemiany polityczne i rozwój prasy, przez M. Nałęczą. — Chwila bieżąca. — Od Administracji. — Ogłoszenia.

Dodatek: Opis ubiorów i robót z rycinami, oraz Tablica krojów.

— Do numeru niniejszego dla prenumeraterek na prowincyi dołącza się prospekt „Gazety codziennej.”

# TYGODNIK ILLUSTROWANY Znacznie powiększył objętość

PODWOIL ILOŚĆ ILLUSTRACJI  
I DAJE CO TYDZIEŃ

## DWA PISMA

Pismo poświęcone literaturze i sztuce:

drukować będzie nowe powieści:

WŁADYSŁAWA REJMONTA z cyklu Chłopi p. t. „LATO“.

BOLESŁAWA PRUSA „DZIECI“ na tle stosunków współczesnych.

Niezależnie od tego Tygodnik zamieści:

Szereg nowel cenniejszych pisarzy polskich. osnutych na kwestjach palących, chwili bieżącej, oraz cykl nowel historycznych.

W PIERWSZYCH NUMERACH ROKU 1908 PÓJDA:

M. Konopnickiej „W Gdańsku“,

H. Sienkiewicza „Sąd Ozyrysa“,

St. Żeromskiego „Śmierć Żółkiewskiego“, dalej utwory

E. Orzeszkowej, K. Tetmajera, G. Zapolskiej, W. Gomułckiego

Szereg bogato ilustrowanych zeszytów albumowych, artystycznych, historycznych, społecznych Kroniki tygodniowe **Bolesława Prusa**. Dział wspomnień historycznych obficie ilustrowany w każdym numerze.

Premjum artystyczne  
w r. 1908 wspaniałe

## Album artystyczne

składające się z 10-ciu kartonów,

Antoniego Kamińskiego „DUCH REWOLUCYONISTA“

Na cykl ów składają się kartony następujące:

„WYMARŁE MIASTO“, „PROPAGANDA“, „TRYBUN ULICZNY“

„WIEC DZIECI“, „WALKI BRATOBÓJCZE“, „SZPIEG“,

„BRAUNINGI“, „BOMBA“, „ODWIEDZINY WIĘZNIÓW“,

„PO 45 LATACH“

z ozdobną kolorową okładką.

### Chwila bieżąca Tygodnika Ilustrowanego

obrazuje w pełni wszystkie objawy życia społecznego w Polsce i zagranicą, dając czytelnikom w artystycznej formie całokształt bieżącej doby, niezbędny dla każdego myślącego człowieka. Wszystkie artykuły bogato ilustrowane. Szczegółne uwzględnienie wszystkich ognisk życia polskiego poza granicami kraju naszego

Co tydzień 40—50 rysunków z chwili bieżącej.

W dodatku powieściowym Tygodnik drukować będzie sensacyjny romans **A. Czernego** p. t.

„Niewolnicy ciała“ osnuty na tle wypadków warszawskich ostatnich lat.

Prenumerata „Tygodnika Ilustrowanego“ razem z dodatkiem powieściowym w arkuszach, z Premjum artystycznym w Warszawie: kwartalnie 2 rb., półrocznie 4 rb., rocznie 8 rb. Z przesyłką pocztową w Królestwie i Cesarstwie: kwartalnie 3 rb., półrocznie 6 rb., rocznie 12 rubli.

Nowy adres redakcji i administracji „Tygodnika Ilustrowanego“: Warszawa, ul. Zgoda № 12, róg Nowosiennej przy Marszałkowskiej.

## KSIĘGARNIA

# KUHNKE I ZIENKOWSKI

w Warszawie, Marszałkowska 74 (róg Hożej). Telefon 27-67

posiada na składzie wielki wybór książek ozdobnych, odpowiednich na podarki gwiazdkowe, dla starszych i młodzieży. Wszelkie wydawnictwa w polskim i w obcych językach otrzymuje zaraz po wyjściu. Poleca globusy, atlasy, znaczny wybór książek do nabożeństwa w gustownych oprawach, w polskim i litewskim języku. Przyjmuje prenumeratę pism periodycznych. Wszelkie zamówienia w zakresie księgarstwa wchodzić załatwia szybko i dokładnie.

Najlepsze mydła udelikatniające skórę są



## Mydła przetłuszczone higieniczne

wyrobu Apteki **M. Malinowskiego**

w Warszawie, Nowy-Świat 35.

— Egzystuje od 1898 r. —

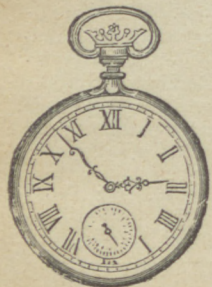
## Pracownia Zegarmistrzowska

# JANA JEZNACKIEGO

43. Nowy-Świat 43.

(Renaissance) w podwórzu.

Sumiennie i najtaniej wykonywa wszelkie roboty zegarmistrzowskie. Poleca tanie zegarki okazyjnie, piękne zegary starożytne, repetyjery.



## Zakład Ogrodniczy Juljana Kuszewskiego

63. Marszałkowska 63. Obok cukierni Ostrowskiego.

Posiada wielki wybór kwiatów, tak doniczkowych jak i ciętych, bukiety, wieńce, ślubne wiązanki i t. p. nadzwyczaj tanio.

Uprasza się uważać na firmowe znaki.

# „A D A M”

WARSZAWA,

PLAC WARECKI Nr. 1,

telefon Nr. 191.84.

[SPECYALNE SALONY DAMSKIE I MĘZKIE

Czesanie, Ondulacja, Farbowanie na różne Kolory.

Mycie głów z momentalnym suszeniem za pomocą maszyny.

Wyroby z włosów. Perfumerya. Manicure.



### Na Gwiazdkę!

Kto chce mieć najładniej ubraną choinkę, ten powinien tylko z mojego składu wypisać lub kupić specjalne przygotowane pełne komplety upiększeń choinkowych, które w tym roku składają się z najrozmaitszych przedmiotów, a mianowicie: z chorągwi, świec, lich-tarzy, małą, ptaków, motyli, butów, dzwonek, deszczu, komet, gwiazd, lampionów bomb i t. p. Nie zwracając uwagi na taki wybór przedmiotów naznaczyliśmy dostępną dla wszystkich cenę, a mianowicie: Za kolekcję składającą się z 150 przedm. 2 rb. 75 kop.

„ „ „ „ z 250 „ 4 „ 50 „

„ „ „ „ z 500 „ 8 „ — „

Specjalna bogata kolekcja „dla szkół, zabaw, zebrań i innych instytucji 10 rb. i 15 rb. Wys. pocz. po otrzymaniu 2 rb. zadatku (można markami). Adres: Skład korzystnych nowości **H. CUKIERSZTEJN**. Warszawa B. S. Prosta 10 m. 6, telefon 120-77.

# Andriolli

## w sztuce i życiu społecznym

przez H. Dobrzyckiego i H. Piątkowskiego.

303 rysunki w tekście i po za tekstem

w tem 28 nigdzie dotąd nie reprodukowanych

Na welinie cena **rb. 12,**

na papierze kredowym **16.**

Na przesyłkę i opakowanie doliczać należy Rb. 1. Zamawiający w Administracji „Bluszczu“: Warszawa, Nowy Świat 41, kosztów przesyłki i opakowania nie ponoszą.

*Skład główny w księgarni Wende i S-ka*

(właściciele Hiż i Turkuł).

## DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

pismo ilustrowane pod redakcją **Ks. Józefa Adamczyka**

na rok 1908

ofiaruje na premjum piękny kolorami wykonany obraz:

„Ołtarz z cudownym wizerunkiem Pana Jezusa w kaplicy na Jasnej Górze w Częstochowie“.

„Dzwonek Częstochowski“ zawierać będzie oprócz dotychczasowych działów i nowe, jako to: z polityki, z pedagogii, z nauk przyrodniczych, higieny, przemysłu, handlu, najnowszych odkryć i wynalazków, gospodarstwa rolnego i domowego, a także nauk społecznych.

**Cena 4 ruble rocznie.**

Listy należy adresować: Do Redakcji „Dzwonka Częstochowskiego“ pod Jasną-Górą w Częstochowie lub: w Warszawie ulica Krucza № 40.

Redaktor i wydawca **Ks. Józef Adamczyk.**